

## Witold Szymczyk

„Chciałbym widzieć wieś kulturalną, wieś mądrych, bogatych wewnętrznie ludzi, ludzi dobrze ubranych i nienagannie się zachowujących, mieszkających w pięknych, ze smakiem urządzonych mieszkaniach”.

(Z wystąpienia partyjnego działacza wiejskiego tow. Orlewicza, na plenum KP w Gorlicach).

O udanym posiedzeniu plenum gorlickiego KP PZPR, poświęconemu sprawom kultury, zdecydowały już założenia wstępne. Przystępując do dyskusji nad tym, o czym debatawa kilka miesięcy temu Kongres Kultury Polskiej, a przymierzając jedynie wszystko do powiatowej i gromadzkiej skali potrzeb i warunków, postanowiono nie zaczynać od Piasta i Rzepichy, nie wyciszać osiągnięć (a jest tu ich niemało) minionych lat, ale wyjść od krytycznej analizy aktualnej, dzisiejszej sytuacji, na jej podstawie określić najbardziej niezbędne poczynania oraz założenia rozwojowe. Nie ograniczono się także do materiałów sprawozdawczych od instytucji i placówek kulturalnych. Przed plenum 50 aktywistów społecznych dokonało przeglądu kilkudziesięciu placówek kulturalnych, przedstawiając bogaty materiał stanowiący jeden z wyjściowych punktów referatu. Na plenum dźwięczał ton twórczego niepokoju, partyjnego niezadowolenia z dotychczasowego stanu rzeczy, niezadowolenia będącego motorem dalszego, skutecznego działania.

Doceniając wychowawcze znaczenie takich środków masowego oddziaływania jak prasa, radio, telewizja i film, uczestnicy plenum poświęcili im szczególnie dużo uwagi.

Gorlice jako pierwsze w województwie odbierały program telewizyjny, mamy już ponad 1 300 aparatów w powiecie — mówi jeden z dyskutantów — ale proszę popatrzeć jak je wykorzystujemy. „Kobra”, „Baron”, westerny — o tych filmach i audycjach wszyscy wiedzą, wszyscy je znają. Mało kto wie jednak o takich, na których by nam naprawdę zależało. Brak jest dostatecznej informacji o wartościowych pozycjach programu. Nie wystarczy sucha zapowiedź spikera ani sobotnie omówienie tygodniowego repertuaru. Takie spektakle jak np. „Dekret” należy propagować wśród widzów na długo przed ich transmisją. Trzeba umiejętnie kierować zainteresowaniami ludzi. Program telewizyjny nie może być dżunglą, w której mało kto potrafi się poruszać. Powinniśmy wiedzieć, do oglądania czego warto ludzi zachęcać. Mało tego, trzeba dyskutować o audycjach telewizyjnych, transponować ich idee na własny grunt, wykorzystywać przekazywane za pośrednictwem szklanego ekranu informacje i doświadczenia”.

W 1961 roku w powiecie gorlickim rozprowadzono 1 500 tysięcy egzemplarzy gazet i czasopism, w roku 1966 zaś — 2 800 tysięcy. Ten widoczny postęp nie zadowala powiatowej instancji partyjnej.

„Mamy takie miejscowości — powiedział sekretarz KP tow. Smaczniak — jak Ropa, Siedlika, Moszczenica, Wójtowa, Stróże, Strzeszyn i kilka innych, gdzie na 100 mieszkańców przypada zaledwie 0,1 — 1 egzemplarz gazet i czasopism. Niepokoń także nikła sprzedaż prasy młodzieżowej”.

„Nowin” rozprowadza się w powiecie gorlickim około 4 100 egz., podczas gdy w sąsiednim jasielskim 5 600, a opoickim 6 100 — red.).

W dyskusji podawano jednak i inne przykłady. Np. w Bieczu po południu nie można dostać „Nowin” i „Trybuny Ludu”, „Polityka” zaś sprzedawana jest spod lady.

Podobnie jak w telewizji, zarzucono instytucjom zajmującym się dystrybucją filmów brak odpowiedniej informacji i propagandy filmu. Zdezorientowany widz nie wie na jaki film idzie do kina i po kilku niepowodzeniach po prostu rezygnuje. Inny problem to same pomieszczenia. Na 5 kin wiejskich w powiecie w 1966 roku zlikwidowano 1 — w Lipinkach, a w roku bieżącym likwiduje się drugie — w

Stróżach. Przynosiły one straty — i nic dziwnego, mało kto chce oglądać w wiejskiej sali wiejską technicznie projekcję. Przykładem na to, że film ma szanse rozwoju na wsi jest Kobylanka. Wzniesione tu wysiłkiem kopalnictwa naftowego kino na 220 miejsc jest licznie odwiedzane i nierzadko brakuje biletów na wiele seansów. Kino to ma jednak także lepszy repertuar.

Kryzys przeżywa jedynie w powiecie kino objazdowe, które zmieszcza na miesiąc obsługuje coraz mniej wsi z braku frekwencji i odpowiednich (ze względów bezpieczeństwa) sal.

Niedawno jeden z felietonistów któregoś z tygodników kulturalnych

## KONGRES TRWA

odsyłał bibliofilów z warszawskich księgarni na prowincję. — Tam — pisał — dostaniecie wszystko.

Tylko nie w Gorlicach, szanowny kolego, nie w Gorlicach. Tutaj książki także sprzedaje się spod lady, a np. ostatniej powieści Żukrowskiego nie dostała nawet tak skumotrzona (z racji częstych kontaktów) z Domem Książki osoba jak kierownik Powiatowej Biblioteki. Książek jest ciągle mało, księgarnie też mogłyby być nowocześniejsze. W rozczytanym powiecie niepokoją takie zjawiska odnotowane w referacie egzekutywy KP jak to, że liczba punktów bibliotecznych z 87 w r. 1960 nie wzrosła, lecz zmniejszyła się do 86 w 1965, powierzchnia zaś lokali bibliotecznych w tych latach z 1 000 m kw. spadła na 880 m kw. Gdy dodamy do te-

go fakt, że w roku 1967 planuje się na zakup książek 100 tys. złotych w porównaniu z 182 tysiącami złotych w roku 1966 czy 191 tys. w roku 1965, że w powiecie działa tylko 10 bibliotek z czytelniami, że w trzech wsiach zamieniono czytelnie na biura, że w ogóle baza lokalowa bibliotek (z powiatową na czele) jest fatalna, niepokój ten stanie się w pełni zrozumiały. Cieszyć więc mogą konkretne decyzje podjęte przez plenum dla zmiany tego stanu rzeczy.

I sekretarz KP tow. Musiał zwrócić w swoim wystąpieniu uwagę na tzw. geografii kulturalną powiatu. W jego północnej części np. znajduje się 25 bibliotek, 20 klubów „Ruchu” i „Rolnika”, podczas gdy w południowej (równnej obszarom) tylko 5 bibliotek i 7 klubów. Na północy jest najwięcej i najbardziej aktywnych zespołów amatorskich, tu notuje się ich najciekawsze osiągnięcia. Stąd wnioski o pomoc dla działaczy kulturalnych w południowej części powiatu.

pozytywną cechą gorlickiego plenum było to, że zabierali na nim głos nie tylko działacze kulturalni. Na trybunę wstępowała przedstawicielka komitetów gromadzkich, rad narodowych i zakładowych, a nawet dyrektorzy zakładów pracy, wykazujący zresztą doskonałą orientację w sprawach kulturalnych swojej fabryki. Dwaj z nich wpadli jednak we własne sidła. Podczas gdy jeden tłumaczył, że Dom Kultury „Górnika” nie może prowadzić działalności w powiecie, bo wkraczałyby w kompetencje Wydziału Kultury, drugi już na wstępie zaznaczył, że trzy czwarte załogi ich zakładu to ludzie dojeżdżający i dochodzący ze wsi. I to jest chyba najbardziej istotny argument, a zarazem wskazówka, gdzie powinien działać dom kultury (i to nie tylko tych zakładów).

Na 20 skontrolowanych przed plenum klubów wiejskich czynnych było 16. Przeciętna frekwencja wynosiła 12 osób na klub. Zajęcia obecnych polegały na oglądaniu telewizji, czytaniu prasy, rozmowach przy kawie i herbacie. Część grała

CIĄC DALSZY NA STR. 2



W pracowni artysty malarza Zygmunta Czyży.

Fot. M. KOWAL

## Władysław Broniewski

### Dąb

*Idę sobie zamaszycie  
i opada ze mnie życie jak jesienne liście.  
Jakie liście? — dębu, brzozy, topoli,  
ale to boli.*

*No cóż? było kilka miłości  
i trwoga, i noce bezsenne,  
było dużo tkliwości i złości,  
wszystko zmienne.*

*No i lecą liście, liście,  
a każde: imię.  
Powiedz je uroczyście,  
wymień.*

*Ach, nie! To już nagie gałęzie  
chwytlawe.  
Kiedy serce i myśl na uwieży,  
jak być szczęśliwym?*

*I ostał się pień nagi,  
nad nim zamieci kłęb.  
Odwagi!  
To ja — dąb.*

## W piątą rocznicę śmierci

Pięć lat temu, w dniu dziesiątym lutego zmarł w Warszawie jeden z najwybitniejszych polskich poetów pierwszej połowy wieku, Władysław Broniewski. Nie było to pierwsze odejście pokolenia, które przeszło przez doświadczenia pierwszej światowej wojny. Krótki czas połączył iniona Galezyńskiego, Tuwima, Broniewskiego. Każdy z nich zapisał się na trwałe w polszczyźnie wieku dwudziestego, ale Broniewski zdobył zaszczytne miano największego liryka polskiej poezji rewolucyjnej. Nie był zresztą jedynym poetą proletariatu czy intelektualnej lewicy, swój udział w walce klasowej dzielił z Wandurskim, Bruno Jasińskim czy Szymańskim, a przecież jego poezja i życie dało mu prawo do reprezentowania trudów i tęsknot poezji pisanej w marszu, poezji romantycznej i antyfaszystowskiej. To można powiedzieć zawsze, przy jakiegokolwiek okazji będziemy wspominać Broniewskiego i jego cierpkie wiersze, noszące zawsze smak epoki, która odeszła, która trwa jeszcze w pamięci pokolenia.

Zadziwiający, choć w pewnym sensie typowy, jest życiorys Broniewskiego. Ten uczestnik pilsudczykowskich Legionów dopiero w okopach dwudziestego roku odkrywa Lenina, zapoznaje się z książką, która zaważy na jego dalszym życiu. Broniewski, który z innymi dzielił rozczarowanie do ideologii Legionów, z klasą robotniczą odnajduje w marksizmie drogę do uzdrowienia drugiej Rzeczypospolitej. W latach 1923—24 współredaguje literackie pismo lewicy „Nowa Kultura”, w rok później, razem z Wandurskim i Standem, pisze manifest poezji proletariackiej „Trzy salwy”. Na stałe związał się z komunistycznym ruchem, między innymi bierze udział w pamiętnym Zjeździe Pracowników Kultury w Lwowie w roku 1936, skąd odezwał się gorący protest przeciwko faszyzacji kraju. Wiersze Broniewskiego wyrażają uczucia klasy robotniczej, posiadają wielką siłę emocjonalnego oddziaływania, stają się agitką w codziennej walce z dyktaturą sanacji. Skonfiskowany przez władze poemat „Komuna Paryska” krąży w odręcznych odpisach, jest recytowany na wiecach i manifestacjach, staje się broszurą agitacyjną na temat tradycji ruchu komunistycznego. Podobną rolę odegrał wiersz „Bagnet na broń”, mobilizujący naród do obrony granic przed Niemcami w wrześniu 1939 roku. Ten sam wrzesień wybrał dla Broniewskiego i jego poezji drogę rewolucjonisty i żołnierza-tulacza, szukającego na wszystkich ścieżkach drugiej wojny światowej drogi do wolnej Polski. Broniewski jest tragiczny, podobnie jak był naród pod okupacją i na wojennej emigracji. Broniewski, ten sam proletariusz, ale tym razem w mundurze, wyraża jego walkę i nadzieje powrotu, jest poetą pierwszej linii zarówno w wierszach tzw. agitacyjnych, jak i w tragicznej, przejmującej lirycie. Broniewski jest wieściem lirycznym, ukazującym tzw. drugą twarz rewolucjonisty, człowiekiem szamocącym się ze swoimi troskami, ale pewnym i zdecydowanym generalnych celów swojej walki. Ten liryczny nurt zakwitnie w Polsce apoteozą mazowieckiego pejzażu i r: dzinnego Płocka, ten pejzaż krwawić będzie tragedią po śmierci córki poety, Anki. Analogia, wcale zresztą niełatwa, z Trenami Kochanowskiego łączy piarstwo Broniewskiego z szerokim, narodowym nurtem polskiej poezji, poezją serca, wielkim romantyzmem Wieszczów i romantyzmem rewolucji. W wierszach wersyfikacyjnie prostych jak ludowa pieśń, jak anonimowa poezja ludu, wyrażał Broniewski inną anonimowość, uczucia klasy robotniczej i tulaczażo żołnierstwa, torującego drogę do Polski wolnej, więc sprawiedliwej, Polski, w której dopełniłby się testament barykad, leśnego frontu i społecznych reform socjalizmu.

Poezja Broniewskiego przeżywa swój cichy renesans, staje się jakby „pieśnią gminną”, jej frazy przechodzą do mowy potocznej. Nigdy przecież nie był poetą parnasu, lubił swoje wiersze czytać na politycznych wiecach, gdzie były przyjmowane jak iskra agitki, nawet gdy czytał: „... a kiedy synka stracił pewien robotnicarz z Radomia, o wierszu pomyślał z płaczem i list napisał do mnie...” to nawiązywał na nowo swój półwieczny dialog z klasą, która wyrażał w swojej poezji.

Takim przypomina się towarzyszy Broniewski, poeta tragiczny.

WIESŁAW RUSTECKI

# Łańcut obiektywem malowany

Do zbioru wydawnictw o Łańcutcie doszedł obecnie album z serii miast i zabytków wydawanej sukcesywnie od 1960 roku przez „Sport i Turystykę”. Album „Łańcut” ukazał się nakładem Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej w Rzeszowie.

Słowo wstępne, które jest zwięzłym i bardzo przejrzystym szkicem historycznym zamku w Łańcutcie, jego byłych właścicieli: rodów Lubomirskich i Potockich napisał mgr JERZY ŻURAWSKI — kustosz muzeum. Zdjęcia natomiast wykonał znany z popularyzacji piękna Rzeszowszczyzny artysta FIAP mgr ZDZISŁAW POSTĘPSKI.

72 zdjęcia, nie licząc nastrojowego widoku zamku na obwolecie i fragmentów parku na wewnętrznych stronach okładki, pokazują pałacowe wnętrza: całe sale i komnaty, najbardziej cenne z punktu widzenia wartości historycznych bądź artystycznych, fragmenty, wreszcie obiektyw z całą swą ostrością przybliża najwyższego kunsztu detale, sławne parkiety, rzeźby, ozdoby świeczników, kandelabry itp.

W układzie zdjęć przyjęto systematykę, na której podstawie pokazuje się turystom zamek i jego otoczenie. Jest to bardzo udany pomysł. Pozornie prosty, ale tu szczególnie ma wartość, zdjęcia bowiem są tak piękne, bajecznie wprost podświetlane lub przeciwnie słońcem, by stworzyć nastrój, który w pałacowych wnętrzach jest, jednak nie zawsze i nie przez każdego zauważany. Zwiedzając zamek z albumem w ręku (dzięki przyjętemu układowi jest on zarazem jakoby ka-

talogiem) możemy spojrzeć na sławne już wnętrza raz własnymi oczami, a drugi jakoby przez obiektyw aparatu fotograficznego, kierowany wprawnymi rękami mistrza. Dzięki współpracy historyka sztuki z artystą-fotografikiem na kartkach albumu pokazany jest nasz najcenniejszy bodajże, znakomicie utrzymany zabytek takim jakim jest, czego przeciętny turysta, nieprzygotowany przybysz mógłby nie zauważyć. Obejrzenie albumu może dać pełną satysfakcję artystyczną znawcy, koneserowi sztuki i przypadkowemu turystyce.

Wydawca — mimo całej pieczołowitości — nie ustrzegł się jednak błędów, które utrudniają korzystanie z albumu jako przewodnika po zamku. Zdjęcia opatrzone tylko numerami, objaśnienia natomiast zawiera aneks. Bardzo to niepraktyczne! Przypuszczam, że o takim rozwiązaniu objaśnień zdecydowało wydanie albumu w 5 językach: (angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim i polskim) oraz jedną utrzymywania piękna graficznego kart albumowych. Wydaje się jednak, że podpisy w jednym języku, a wyłączenie innych do aneksu nic urodzie graficznej by nie ujęły.

Należy też bardzo żałować, iż zapewne nie udało się wydawnictwu zdobyć wyższej klasy gatunku papieru dla części ilustracyjnej. Za te ustęki można śmiało zadedykować zdjęcia zabawnej rzeźby, ilustrujące rewersową część obwoleci.

Cały album jednoznacznie dla wszystkich nazwany „Łańcut” jest udaną pozycją wydawniczą i cennym przyczynkiem do dalszego poznania piękna tego zabytku, który tym razem pokazano nam obiektywem malowanym.

M. G.

P. S. Łańcut zwiedza przeciętnie około ćwierć miliona osób. Nakład albumu 10 tys. egz.!!! Czyż byśmy specjalizowali się w wydawaniu białych kruków?

## Witkacy w Poznaniu

W Muzeum Narodowym w Poznaniu otwarto wystawę malarstwa Stanisława Ignacego Witkiewicza-Witkacego. Ekspozycja obejmuje wszystkie człowiek kompozycje artysty z lat 1920—28, m. in. słynne portrety kobiet oraz autoportrety, poczynając od pierwszego z 1911 r. po ostatni, wykonany w sierpniu 1939 r., na miesiąc przed tragiczną śmiercią artysty. Z okazji wystawy urządzono konferencje naukowe, poświęconą twórczości Witkacego oraz pokaz filmu dokumentalnego pt. „Stanisław Ignacy Witkiewicz”.

Kongresem Kultury Polskiej, spotkaniami z delegatami na ten Kongres, zebraniami dla aktywów powiatowego organizowanymi w Rzeszowie. Same przygotowania do plenum, a obecnie jego przebieg świadczą, że chcemy zdać sobie sprawę z tego, jakie mamy braki i czym dysponujemy dla ich usunięcia, że zajmujemy się sprawami kultury tak, jak one na to zasługują. To, że mówimy o hierarchii spraw i kolejności zaspokajania najbardziej niezbędnych potrzeb, dowodzi rozważli i zrozumienia, daje pewność, że założenia jakie dziś wysunęliśmy, zostaną zrealizowane...”

Trudno coś dodać do tych słów. Trzeba by chyba cytować obszerne fragmenty uchwały plenum precyzującej cały program działania powiatowej organizacji partyjnej, określającej zadania dla rad narodowych, organizacji związkowych i młodzieżowych. Konkretnie wnioski dotyczą najważniejszych, pierwszoplanowych spraw. Świadczą one, że zapoczątkowane na Kongresie Kultury Polskiej dzieło trwa, że najbliższe miesiące i lata dodadzą do niego nowe trwałe wartości.

WITOLD SZYM CZYK

P. S. Na gorlickim plenum nie poruszano spraw działalności na terenie powiatu instytucji wojewódzkiej jak teatr, estrada czy WDK. Wydaje się, że próba ich oceny od strony terenowego odbiorcy, na innych przygotowywanych obecnie plenarnych posiedzeniach KP, byłaby obustronnie korzystna.

W. Sz.

Piotr Żbikowski

# ŚLADAMI I KAROLA

Równie 310 lat wstecz, wschodnie i południowe rubieże Rzeszowszczyzny stały się niespodzianką teatru ożywionych działań wojennych. Działo się to w czasie słynnego w naszej historii potopu, albo inaczej, najazdu króla szwedzkiego, Karola Gustawa, na Polskę. Rzeczpospolita szlachecka była już prawie cała podbita, wojsko koronne i szlachta przeszły na stronę najazdźcy, magnaci pertraktowali o granice swych udziałowych księstw. Wydawało się, że zamiana jednego polskim, odbędzie się bezkrwawo i bez wewnętrznych zaburzeń. Przez pewien czas wierzyli w to polska szlachta; wierzyli i Szwedzi. Rachuby te pomylił niespodziewany powrót ze Śląska Jana Kazimierza. Przybył on do Lwowa i zaczął skupiać wokół siebie wiernie mu oddziały. Jednocześnie, na terenie całego niemal kraju, zaczął się szerzyć insurekcyjny ruch ludowy.

Zaniepokojony tym Karol Gustaw, zakończył pośpiesznie układy z elektorem brandenburskim i rozpoczął forsowny marsz z Torunia przez Łowicz, Rawę, Radom, Gołąb, Lublin, aż po Zamość. Doskonale ufortyfikowanej twierdzy nie udało się jednak zająć z marszu, a do długotrwałego oblężenia wojska szwedzkie nie były przygotowane i nie miały zresztą na nie czasu. Kto wie, czy powodem odstąpienia od miasta nie była obecność w nim pana Zagłoby, którego fortele i znanego meštwa, mógł się król szwedzki śmiało obawiać. Jedno jest pewne, że po nieudanej próbie zajęcia Zamościa Szwedzi skierowali się pod Jarosław, aby po wypoczynku i należywym zaprowiantowaniu, kontynuować marsz na Lwów. „Szwedzi Aleksander Macedoński” postanowił bowiem za wszelką cenę dobiegnąć polskiego „Dariusza” — trafiając zresztą rozumując, że rozbiście wojsk Jana Kazimierza oznacza nie tylko wygraną batalię, ale, co ważniejsze, stłumienie budzącej się na tyłach armii szwedzkiej „ruchawki” chłopskiej i szlacheckiej. Oblężenia te jednak zawiodły. W praktyce, najbardziej wysuniętym na południe punktem, do którego udało się nieprzyjacielowi dotrzeć, był Przemysł, a dramatyczne perypetie pochodu i jego, tragicznej zresztą dla Szwedów finału, rozegrały się na trasie Narol — Sandomierz, w czasie, między 4 marca, a 5 kwietnia 1656 roku.

Wkrócenie wojsk szwedzkich na Rzeszowszczyznę znalazło swe odbicie w „Potopie”. „Szedł więc Karol Gustaw na Narol, Ciesznów i Oleszyc, aby się do Sandomierza dostać. Podtrzymywała go nadzieja, że Jan Kazimierz zabieży mu drogę i bitwę stoczy”. Dalej opisuje Sienkiewicz warunki marszu i ukazuje obraz armii szwedzkiej. Z rzadka u Polaków bezstronnością wspomina przy tym o oplakanym stanie dróg, które już w tamtych zamierzchłych czasach zdobywały sobie zaszczytne miano „polskich” i niemłoda krwi musiały napęczyć najazdźcy.

„Pola zamienili się w jeziora, rzeki wzdbrzydły, brody stały się nieprzebyte... Wśród tych wód, błot i topieli wioły się zastępy szwedzkie...”

A oto plastyczny opis „konduktu pogrzebowego”, do którego porównywał Sienkiewicz wojska Karola Gustawa:

„...Głód powyciskał sine pieczęcie na twarzach starych wojowników; więc szli,

do mar niż do ludzi podobniejsi, w zmartwieńiu, trudzie, bezsensowności, wiedzając, że na końcu drogi nie jadio ich czeka, ale głód, nie sen, lecz bitwa, a jeśli odpocznę, to chyba odpocznę smiercią”.

Tyle Sienkiewicz. Zobaczymy teraz, co mówią o pierwszych dniach pochodu szwedzkiego przez ziemię rzeszowską, fakty historyczne. Otóż, rzeczywiście, 4 marca Szwedzi opanowali Tomaszów Lubelski i już następnego dnia znaleźli się w Plazowie, 6 marca byli w Oleszycach, a 8 w Łaskach. Tempo marszu było więc bardzo szybkie, jeśli uwzględnimy do tego deszcz i roztopy, brak paszy dla koni i zżywności dla ludzi oraz działalność na tych terenach partyzantki chłopskiej. Zamiary jednak króla szwedzkiego były inne niż mu to imputuje autor „Potopu”. Sandomierz nie był jeszcze wówczas punktem docelowym pochodu. Karol Gustaw chciał dostać się pod Jarosław, aby dać odpoczynek armii, licząc, że okolice miasta nie były dotąd pustoszone rekwiizycjami wojskowymi, a potem kontynuować marsz na Lwów. Decyzja o zmianie kierunku pochodu zapadła dopiero w Jarosławiu, na wieść o koncentracji wojsk Czarnieckiego, Lubomirskiego, Koniecpolskiego i Sapiehy oraz o szerzących się gwałtownie ruchach chłopskich.

Pod Jarosławiem doszło do pierwszej potyczki między Szwedami a Polakami. Mianowicie, przednia straż armii szwedzkiej, składająca się z regimentu Andrego, oddziału Ascheberga (tu Sienkiewicz — Aszemberg) i kilku dział zmusiła do odwrotu parę chorągwi Jerzego Lubomirskiego, które ścignięty tu spod Przemysła i broniony przeprawy przez San. Po wyparciu przeciwnika, Ascheberg zbudował, przy pomocy okolicznej ludności w ciągu 12 godzin, most przez San. Przeszły po nim główne siły szwedzkie, które przybyły do Jarosławia 9 marca.

Sienkiewicz nie wspomina o tym drobnym starciu. Pisze natomiast o wyparciu Douglasa pod Przemysłem: „Poszedł Douglas pod Przemysłem spróbować czyżby ta przynajmniej twierdza nie dała się zająć i wrócić nie tylko z nikim, ale i poszarpanym”.

Wydarzenie to pokrywa się całkowicie z prawdą historyczną, choć lakoniczna wzmianka w „Potopie” kwituje w tym wypadku dość skomplikowany i złożony manewr armii szwedzkiej. Chodzi o to, że już 7 marca a więc bezpośrednio po wymarszu z Oleszyc, a dwa dni przed dojeściem do Jarosławia, Karol Gustaw wysłał pod Przemysłem regimenty Woldemara (którego Sienkiewicz „uśmiercił” w bitwie pod Gołębiami) Brauna i Hammerskjöldę, pod dowództwem tego ostatniego. Doszły one do miasta 8 marca i rozpoczęły oblężenie. Z pomocą dla oblegających poszły następnie (ale wciąż jeszcze z drogi do Jarosławia) oddziały Gorgasa i polskie chorągwie kwarciane pod komendą Zbrozka, który stał wówczas po stronie Karola Gustawa. Na koniec 10 marca, a więc już z Jarosławia, wyruszył pod Przemysłem Douglas. Gdy jednak do obozu szwedzkiego dotarła wieść o zbliżeniu się od strony Lwowa Czarnieckiego, który mógł zająć pozycje między Przemysłem i Jarosławiem, oddziały oddziały szwedzkie oblegające Przemysłem i rozbić je, Douglas na

## Szczeciński tydzień teatralny

Przebieg Teatrów Małych Form, który odbył się w ubiegłym roku w Szczecinie w związku z III Ogólnopolskim Festiwałem Poezji im. K. I. Gałczyńskiego, spotkał się z nieoczekiwanym żywym zainteresowaniem. Dlatego w 1967 r. postanowiono zorganizować tę imprezę jako samodzielną, niezależnie od IV Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji im. K. I. Gałczyńskiego.

Szczeciński Tydzień Teatralny odbędzie się w dniach od 19—24 III 1967 r. Wypełnią go programy pełnospektaklowe oraz miniatury sceniczne, przygotowane przez aktorów zawodowych, z tym że będą to spektakle nie wchodzące w zakres normalnej, planowanej działalności państwowych scen dramatycznych. Ideą bowiem Tygodnia jest stworzenie okazji do zaprezentowania działalności artystycznej aktorów, uprawianej obok ich pracy zawodowej.

Jak uczy przykład ubiegłego roku, jest to częstokroć twórczość sceniczna o wysokim poziomie artystycznym i ideowym.

Najciekawszy spektakl otrzyma Wielką Nagrodę Tygodnia Teatralnego, przyznaną przez jury powołane przez Komitet Organizacyjny.

Natomiast IV Ogólnopolski Festiwal Poezji im. K. I. Gałczyńskiego odbędzie się w dniach Oświaty, Książki i Prasy z początkiem maja 1967 r.

Będzie to konkurs w dwóch kategoriach: młodzieżowej i ogólnej, obejmujący recytatorów i amatorskie teatrzyki poezji. Eliminacje odbywać się będą przy udziale przybyłych uczestników, a finał konkursu będzie zarazem otwartą imprezą, w w czasie której jury punktować będzie produkcję w sposób jawny.

Obie imprezy — Tydzień Teatralny i IV Ogólnopolski Festiwal Poezji — przygotowane są przez ten sam Komitet Organizacyjny, składający się z przedstawicieli oddziałów szczecińskich Związków Twórczych oraz Szczecińskie Towarzystwo Kultury. Patronat nad Tygodniem Teatralnym objęła redakcja „Teatru”.

## Kongres trwa

(Ciąg dalszy ze str. 1)

w karty. Tylko w jednym z klubów (przebiegu placówek dokonano w sobotę i niedzielę) odbywał się wieczorek taneczny. Zwrócono uwagę na brak planów pracy, słabą aktywność rad klubu i mały udział w tych radach członków partii.

Przedstawiciel Snietnicy mówił na plenum:

— Opieka nad kulturą to nie taka prosta sprawa dla władz gromadzkich. Jeżeli mamy do wyboru budowę w czynnie społecznym świetlicy lub drogi, to z reguły wybieramy drogę. Przecież to sprawa komunkacji, dostępu do miasta, a więc pośrednio także sprawa kultury. To też u nas zaczęliśmy wolać od drogi, która kosztowała 8 mln zł. Potrzeb na wsi jest wiele i ustalić ich kolejność nie jest łatwo. Myślmy o zespołe wypału cegły, jeżeli powstanie, zaspokoi najpilniejsze potrzeby, to zacznijmy budować świetlicę.

Nie znaczy to, że nie doceniamy spraw kultury. Wiemy, jakie ma ona znaczenie wychowawcze, jaki wpływ na obywatelską postawę człowieka. Działają u nas 3 świetlice, dopięliśmy 30 tys. złotych do telewizorów. To jednak mało. Potrzebna jest

konieczność dyskusji na różne tematy, oddziaływanie bezpośrednio żywym słowem na ludzi.

We wszystkich niemal przemówieniach przewijała się myśl o celach działalności kulturalno-oświatowej. Mówiono o oddziaływaniu ideologicznym, o kształtowaniu postaw społecznych, o aktywności i żarliwości w wychowywaniu człowieka. „Potrafimy już porwać za sobą ludzi w walce o realizowanie planu gospodarczego — powiedział jeden z mówców — ale w sprawach kształtowania świadomości nie zawsze rozwijamy niezbędną aktywność”. Podkreślano konieczność opieki nad kadrą kulturalno-oświatową, właściwego podejścia do jej spraw i kłopotów, odpowiedniego traktowania tych ludzi przez działaczy rad narodowych, kierownictwa zakładów pracy.

Mimo wielu słów krytycznych padających z trybuny, gorlickie plenum cechował duży optymizm. Wyraził to w swoim przemówieniu doświadczony działacz kulturalny tow. Gabryl:

— „Mimo że nie padają tu obietnice i nikt nie przedstawia oszałamiających wizji przyszłości, choć wyraził najgłębsze przekonanie, że plenum to przyniesie wiele zmian i posunie naprzód sprawy kultury. Nie jest to optymizm zdawkowy. Dzisiejsze zebranie jest bowiem konsekwentną kontynuacją działalności rozpoczętego sejmikami przed

## Konkurs dla nauczycieli

### Pierwszy rok w szkole

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka i Wiedza” oraz redakcje pism warszawskich — tygodnika „Walka Młodych” i dwutygodnika „Wychowanie” ogłaszają konkurs — ankietę dla nauczycieli: „Pierwszy rok w szkole”. W konkursie mogą wziąć udział wszyscy nauczyciele, a zwłaszcza ci, którzy w tym roku rozpoczęli pracę w szkole. Wypowiedzi będą publikowane na łamach „Wychowania” i „Walki Młodych”, a z prac wyróżnionych powstanie książka wydana nakładem „Książki i Wiedzy”.

Organizatorzy konkursu nie narzucają szczegółowej tematyki, niemniej proszą o uwzględnienie takich spraw jak:

- Czy zawód nauczyciela był celem, czy chciałyś zdobyć jakąś inną specjalność?
- Czy uważasz, że jesteś dobrze przygotowany do zawodu?
- Jak wypadła konfrontacja wyobrażeń o pracy w szkole z praktyką?
- Jak ułożyły się stosunki ze starszymi kolegami?
- Czy pracujesz społecznie i jak oceniasz tę pracę?
- Jak udaje ci się godzić pracę zawodową i życie prywatne?

— Jakie masz ambicje i plany zawodowe?

— Czy obecny system wychowania i nauczania w Twojej szkole uważasz za prawidłowy?

— Jak wykorzystujesz w swej pracy czasopisma i książki pomocnicze?

Organizatorom zależy na wypowiedziach szczerych, ukazujących wszechstronnie sytuację nauczyciela w pierwszym roku jego pracy; gwarantują więc, jeśli uczestnik tego zechce, nieujawnienie nazwiska autora. Oprócz honorariów za wykonane prace, autorzy prac wyróżnionych otrzymają nagrody i upominki.

Zebrały tą drogą materiał pozwoli na wysunięcie pewnych postulatów i wniosków dotyczących programów nauczania, przygotowania nauczycieli do zawodu, postaw, współpracy z rodzicami itp.

Prace konkursowe należy nadsyłać do dnia 30 marca 1967 r. pod adresami: tygodnik „Walka Młodych”, Warszawa, ul. Smolna 40 lub redakcja „Wychowanie”, Warszawa, ul. Wiejska 12a.

Z. K.

# SIENKIEWICZA GUSTAWA

rozkaz króla odstąpił 12 marca od oblężenia i pospieszonym marszem podążył do Jarosławia, skąd na spotkanie mu wyruszył tego samego dnia król szwedzki. Jedyne dla ochrony mostu pozostały w obozie nieliczne oddziały nieprzyjaciela.

Czarnecki nie na darmo był jednak pionierem i jednocześnie mistrzem w prowadzeniu wojny podjazdowej. Już na pierwszą wieść o oblężeniu Przemysła rozdzielił swe siły i część z nich, pod dowództwem Szemberka wysłał na pomoc miastu, z pozostała zaś część pociągnął na Jarosław. Doszedł tam w kilka godzin po wyjściu wojsk szwedzkich z królem na czele, „złniósł ze szczerem” oddział pozostawiony dla ochrony mostu, podążył w ślad za Karolem Gustawem i, już po połączeniu się króla z Douglasem, rozbił straż tylną armii szwedzkiej pod Makowskimi. Po powrocie Szwedów do Jarosławia znów zaatakował regimenty pilnujące przeprawy przez San, a ścigany przez przeważające siły, umknął.

Wyszczęgólnione ruchy wojsk otrzymały w „Potopie” artystyczny ekwiwalent w postaci wyprawy Kannenberg, która wyruszyła w kierunku na Wielkie Oczy, została wciągnięta w zasadkę i doszczętnie rozbita. Historia tej wyprawy, choć należy jedynie do fikcji literackiej, oddaje przecież w syntetycznym skrócie istotną prawdę — o autentycznych zmaganiach toczonych w tym czasie na ziemi rzeszowskiej między najdzielcą a wojskami polskimi. Niezależnie bowiem od zmyślnych szczegółów i sytuacji, ukazują rzecz najistotniejszą — faktyczną przewagę Czarneckiego nad przeciwnikiem w swobodnym manewrowaniu wojskami.

Z Jarosławia, Karol Gustaw wyruszył po dwutygodniowym prawie pobycie, 22 marca, w kierunku na Przeworsk. Wcześniej, bo 19 marca nastąpiło pierwsze w dziejach tej kampanii spotkanie obu polskich dowódców — Stefana Czarneckiego i Jerzego Lubomirskiego. Spotkanie to odbyło się w kwatery kasztelana kijowskiego, w Grochowcach, gdzie marszałek koronny przybył z Rzeszowa, skąd wyruszył 13 marca, idąc przez Chyrow i Przedzielnicę.

Tak więc było się, niestety, bez pośrednictwa Zagłoby, który nie miał, tym samym okazją, aby pana Lubomirskiego.

„na hak przywiśnię” i „rozsmarować go jako masło na grzance dla pana Czarneckiego”.

Marszałek nie oddał oczywiście swych wojsk pod komendę kasztelana. Na wspólnie naradzie ustalono jedynie, aby obłąka Karola Gustawa w Jarosławiu.

Tu krótka dygresja, a właściwie wyjaśnienie, jak przedstawiał się w rzeczywistości stosunek liczebny wojsk polskich i szwedzkich w czasie ich pobytu na Rzeszowszczyźnie. Niestety, relacje na ten temat są bardzo rozbieżne. Jedne mówią o 8 tysiącach Szwedów i 15 tysiącach Polaków, inne o 17 a nawet 30-tysięcznej armii szwedzkiej. Jeszcze inne obliczają siły szwedzkie, no odejściu polskich chorągwi kwarcianych, na 5 tysięcy żołnierzy. Ostatecznych ustaleń brak.

Jak już jednak wspomnieliśmy, Karol Gustaw pokrzyżował zamiary polskich dowódców i w trzy dni po ich naradzie wyruszył z Jarosławia na Przeworsk, chcąc przedostać się do Sandomierza. Niewatpniwie, decyzja o podjeździe marszu na północ Polski oznaczała klęskę króla szwedzkiego. Wojsk polskich skupionych przy Janie Kazimierzu nie zdołał nawet zaatakować, własne siły wykryły, pozostałe przedyła i zalogi po miastach osłabił, a jednocześnie wpłynął mimo woli na ożywienie ruchu powstańczego w całym kraju.

„Pierwszy nocleg w Przeworsku był zarazem pierwszym alarmem. Oddziały polskie natary tak blisko, iż kilka tysięcy plechoty z działami musiało przeciw nim zawrócić. Przez chwilę sam król myślał, że Czarnecki naprawdę następuje, lecz on, swoim zwycięstwem, wysłał tylko oddziały za oddziałami... Noc do rana zeszła na podobnych harcach, noc swarliwa, dla Szwedów bezsenność”.

A przecież Czarnecki nie był jedynym wrogiem armii szwedzkiej. Do kuczał jej przede wszystkim głód, który demoralizował żołnierzy i osłabiał ich wartość bojową. Sienkiewicz trafnie oceniał sytuację, gdy pisał: „znekane żołnierstwo poczęło się wymykać pojedynczo i kupami na gruszek po wsiach... Szli więc, do rabusiów nocnych podobni, ku Radymnu, Kańczudzie, Tyczynowi, gdzie mogli i gdzie spodziewali się zastać coś do jedzenia... Widocznie wielkie już było rozprzeżenie w obozie, bo około półtora tysiąca ludzi wysunęło się w ten sposób, wbrew najsurowszemu rozkazom królewskim”.

Jeszcze groźniejszym niebezpieczeństwem dla Szwedów były ruchy chłopów. Powstańcze oddziały ludowe dały się mocno we znaki nieprzyjacielowi już w drodze z Tomaszowa do Jarosławia. Ich rosnąca wciąż liczebność i agresywność stanowiła poważną groźbę dla arowizacji wojska oraz utrudniała swobodne poruszanie się mniejszych oddziałów. A „ruchawka” chłopów przybrała na sile właśnie pod koniec pobytu Karola Gustawa w Jarosławiu, po wydaniu 20 marca słynnego uniwersału Stefana Czarneckiego, który nakazywał „wójtom i wszystkiemu pospólstwu, aby pow-

stawszy z orężami swymi tego nieprzyjaciela niszczyli i gdzie by się jeno pokazał, żadnemu nie folgowali, śmierć i złości jego nagradzając”. Podobny charakter miał również uniwersał Jerzego Lubomirskiego, wydany o dwa dni później, 22 marca 1656 roku. Aczkolwiek w żadnym z tych dokumentów nie obiecywano zwolnienia z poddaństwa, jak twierdził Sienkiewicz, ożywiły one działalność oddziałów chłopów na Rzeszowszczyźnie, czego najlepszym dowodem jest obecność w bitwie pod Niskim dwutyśięczonego oddziału chłopów i to uzbrojonych w broń palną. Zgodna więc z prawdą historyczną jest wzmianka w „Potopie”: „...wszystkie kosy osadzone sztorcem i poczęto o dzień znosić głowy szwedzkie do obozu, aż pan marszałek musiał tego zwyczaj, jako niechrześcijańskiego, zakazać”. Istotnie w tamtej wojnie „cepy, widły i kosy nie gorzej od szlacheckich szabel opłynęły krwią szwedzka”.

Jednocześnie nie próżnował także Czarnecki. Na następnym etapie marszu z Przeworska do Tryńcy przysłał kolejny atak i rozbił kilka regimentów nieprzyjaciela. Korzystając z postoju pod tą miejscowością armii szwedzkiej, kasztelan kijowski i Lubomirski przeformowali i rozdziliili swe siły. Marszałek przeprowadził się przez Wisłok i pociągnął na Rakszawę. Czarnecki zaś podążył bezpośrednio za Karolem Gustawem i, zaatakował znów przeciwnika na trasie Tryńca — Leżajsk. „Kolo Sieniawy napaśli znów na Szwedów tak skutecznie, iż tylna straż w pień wycieli i wprowadzili zamieszanie w szeregi głównej armii. Pod Leżajskiem jeszcze silniej nastąpił pan Czarnecki. Znaczne oddziały szwedzkie pogrzesły w błotach powstałych z deszczów i powodzi, i te wpały w ręce polskie”.

Z Leżajska Karol Gustaw wyruszył 27 marca i w tym samym dniu stanął w Rudniku. Miejscowość ta, będąca wówczas marną wioską a dziś kilkutyśięcznym miastem, przeszła do historii i legendy, dzięki brawurowemu atakowi chorągwi Szandarowskiego na tylną straż armii szwedzkiej, dowodzoną przez samego króla i dzięki postaci Michałka. Każdy z czytelników „Potopu” ma doskonale w pamięci „rudnickie terminy” i nie trzeba tu szerzej się nad tym epizodem rozchodzić. Warto jedynie podkreślić, że jest on w całości oparty na źródłach historycznych. Król szwedzki istotnie został przez Polaków zaskoczony na plebanii podczas odpoczynku i jedynie raczosi swego wierzchowca zawiadzczał ocalenie. Nawet w opisie pogoni Rocha Kowalskiego za Karolem Gustawem na drodze do Bojanówka wykrył Sienkiewicz fakty autentyczne. Wódz szwedzki rzeczywiście bowiem zostawił w rękach zwycięzców sztandar, szarfy i srebra stołowe. Oczywiście postać Michałka należy do fikcji literackiej. Nie chodzi jednak przecież o to, aby doszukiwać się w przeszłości jego realnego pierwowzoru. W powieści wyrasta on na symbol najlepszych wartości tkwiących w ludzie polskim, i tak go należy rozumieć.

O dalszej drodze, z Rudnika do Sandomierza, Sienkiewicz nie nie wspomina. Historia za to mówi nie o potyczce już, ale bitwie, jaką Czarnecki stoczył z Karolem Gustawem pod Niskim. Nie udało się wówczas wprowadzić rozbić armii szwedzkiej, ale starcie to poważnie „nadwiałło ducha” wśród nieprzyjacielskich szeregów.

Pod Sandomierz wojska polskie i król szwedzki dotarli prawie równocześnie, 31 marca. Pobyt jednak króla w widłach rzecznych Sanu i Wisły nie trwał długo. Korzystając z odejścia pod Warke dwyzwił Czarneckiego, Karol Gustaw „zgwatcił litewskie wojska i z saku umknął z wielką litewskiego wojska konfuzją”, 5 kwietnia 1656 roku.

Tak, w ogromnym oczywiście skrócie, przedstawia się historia zmagania polsko-szwedzkich na Rzeszowszczyźnie w 1656 roku.

Krystyna Świerczewska

# WOJNA DOMOWA I PTASZKI

Artykułem red. Krystyny Świerczewskiej chcemy zapoczątkować dyskusję nad sprawami, związanymi z moralnością środowiska, które kształtuje charakter przyszłej młodzieży, nad postawami dorosłych, nad ich dyscypliną wewnętrzną, nad kontaktami szkoły z domem rodzicielskim, słowem —

Mamy straszną — wspaniałą młodzież, którą zaczynamy dostrzegać, kiedy praktycznie kończy swój proces młodzieńczej edukacji. Wtedy też zaczynamy grać koncerty na najwymyślniejsze instrumenty, czyli sposoby. I jeżeli coś w nich skrzypli dysonansami — w żadnym wypadku nie jest to wina samego tematu, ale metody, jaką się koncertmistrz posługuje. Bo koncertmistrz widzi konkretnego szesnastolatka, rodzi wizję przyszłych dwudziesto-, trzydziestolatków, wizje — dodajmy — najczęściej potworne, ponure, widzi nieprawidłowe traktowanie go przez rodzine, nikły wpływ szkoły, bywa mniej lub bardziej docieklwym socjologiem, bierze te szesnastolatka, jak eksponat biologiczny pod mikroskop własnych doświadczeń i tak stworzonym, często własną wyobraźnią, dziwolągami straszy. Inteligentny koncertmistrz straszy naturalnie skutecznie, bo myślimy nad szybką profilaktyką i to jest dobrze, i to są jego osiągnięcia. Tylko, że szybka profilaktyka jest praktycznie niemożliwa, że zacząć się nie może w odniesieniu do szesnastolatka, że już w etymologii tego słowa leży powolność i zapobieganie — nie zaś leczenie. Ze w procesach wychowawczych zapobiegać trzeba na parę dobrych lat przed krytyczną szesnastką. I tu widzę jakąś daremność trudu koncertmistrza, kiedy zajmuje się młodzieżą praktycznie już wychowaną, nawet jeśli jakości tego wychowania woła o pomstę do nieba (na ogół milczącego), a nie interesują go dojrzewające dzieci — swoisty rodzaj mini-młodzieży.

Wszystkie porzekadła o Jasiu i Janie, o skorupce, która czyni tam zawsze nasiąka, aż proszą się o przypomnienie i odnowę. Dlatego zdaje mi się, że dyskusja nad młodzieżą jest sygnałem do zajęcia się właśnie rzeszą już nie-dzieci, ale jeszcze nie-młodzieńców, przeruceniem punktu ciężkości zainteresowań z szesnastolatka na dwunastolatka. Wtedy, być może, za cztery lata koncerty minorowe ustąpią miejsca nieco weselszej tonacji. Taką mamy bowiem młodzież, jakie mamy dzieci.

Każdy z nas nosi pamięć o jakiejś dziecięcej potworności: oburzenie podeszło mi do gardła, kiedy dojrzała kobieta biła na ulicy chłopca może 7-letniego, a chłopiec becząc jak zarzynane cięło, oddawał te razy na ślepo, po nogach matki, bo wyżej nie mógł sięgnąć. Kobieta przeżywała i biła, chłopiec rzyzał i oddawał, ludzie miłośkiem przechodzili obok i nie znalazł się nikt, absolutnie nikt, kto by zareagował. Zresztą jak można reagować, gdy ma się do czynienia z szaloną kobietą, bardziej podobną do furii niż matki? Na ogół wszyscy od czasu do czasu przetrzepujemy dzieciom skórę — nie znam wstrętniejszej metody tego przetrzepywania nad

całą tą domena, jaką podciągnąć można pod pojęcie w porę przeprowadzonej profilaktyki wychowawczej. Problem wydaje nam się na tyle ważny i zarazem powszechny, bo wszystkich nas dotyczy, że spodziewamy się liczących odgłosów ze strony Czytelników. REDAKCJA

publiczne egzekucje. Wartość takiej kary równa się w moim pojęciu z chuligaństwem dorosłych, z podsuwaniem dziecku gotowego wzorca, „jak postępować w życiu najgorzej”.

Wojny domowe na słowa: ryżące, jęklliwe, z przekleństwem i iza, chamstwo sformułowań, chamstwo epitetów, rozwydrzenie słów dorosłych, obciążanie dzieci własnym, dorosłym znowu niepowodzeniem, humory, lekkomyślne składanie życiowych decyzji w ręce dziecka (chcesz być przy mamusi czy przy tatusiu), straszne zwierzenia nieszczęśliwych matek, zaniedbanych jako żony — to w gruncie rzeczy obrazy potwornego egoizmu dorosłych, który być może zrodziło ich własne nieszczęście, ale właśnie jako dorośli mają obowiązek budować tamę i trzymać dziecko po jej bezpiecznej stronie jak najdłużej.

Znam matki, które w imię rzekomego szczęścia dziecka, znoszą do śmierci tyranów — mężów, a w rzeczywistości bały się tylko losu samotnej kobiety; z takich domów dzieci muszą uciekać, muszą nienawidzieć obojga rodziców, kiedy przychodzi na nie czas zrozumienia. A tymczasem jest właśnie wiek pokwitania.

Rodzą się pierwsze sądy wypływające z przemysłu, podejmują się pierwsze samodzielne decyzje, rodzą się chwilowe niechęci do matek, radość z własnej dojrzałości i strach przed biologicznymi zmianami. Dziewczęta zadumane przed lustrami kontemplują nieograniczone możliwości natury, która zaczyna hojnie przyodzabiać je w krągłość; chłopcy zatrząskują drzwiami do swoich pomieszczeń, gdy wskazują w piżamy — nie tolerują nawet ojców. Rodzą się nadmierne drażliwość, chorobliwe zawstyżenie, niechęć do świata dorosłych, który uważa ją za świat wtajemniczonych. Mija niesforne dzieciństwo wraz ze szczerością myśli; zaczyna się czas ostrożnych sformułowań, niepotrzebnych kłamstw, ucieczek w gwałtowne przyjaźnie. Czas małpowania wzorców; czas rozciekawienia, wielkiej chłonności moralnej. Żnika podstawowy podział na dobro i zło, już zbyt prymitywny; zaczyna się wartościowanie zła na mniejsze i większe; okres skoków w nauce, załamywanie się „piątkowiczów”, podciąganie „dwójkarzy”, słowem — dzieje się procesy pozornie anormalne, w istocie — szalenie prawidłowe.

I właśnie one wprowadzają stan zagrożenia w umysły rodziców, wywołując wszystkie nieumiejętności pedagogiczne, które dotychczas jakoś uchodziły niezauważane: najczęściej przesadzoną surowość, albo nadmierną pobłażliwość. W stan rozchwiania psychicznego wywołany dojrzewaniem dochodzi groźne rozchwianie metod postępowania

dorosłych, zbyt przejętych własną bezradnością, by dostrzec ją w o wiele większym wymiarze u syna czy córki. Błądząc po obszarach milczenia, domysłów (zbyt często nietrafnych, by je lekceważyć), samotności wreszcie — dziecko obala nadwątlone autorytety domowe; pioną mu nieba, jak to napisał wstrząsający Parandowski.

I w zasadzie nie robiąc nic przeciwnego naturze, ni kodeksom moralnym, czuje się w stanie ciągłego oskarżenia. Protestując uparcie, powiększa go. Protestując płaczem — drażni. Protestując milczeniem — prowokuje gadulstwo rodziców, niszczące psychikę.

Wszystko to po paru latach uspokaja się; rodzice przywykli do podejrzliwości, dziecko do kłamstwa i nawet nie wiadomo kiedy ukształtował się charakter. Tyle, że już nie do zmienienia przez żadne koncerty, przez żadną profilaktykę. Bo okres na nią podatny minął bezpowrotnie.

Wszystko to byłoby teorią, być może nie wartą omawiania, gdyby nie te parę lat, których wagi tak często nie rozumiemy, gdyby nie te przecieki egoizmu nieszczęśliwych dorosłych, które się w nie wlewają, gdyby nie błędy, których można było uniknąć, gdyby nie skrajności postępowania dorosłych, które zarażają innych dorosłych i trzymają ich w strachu przed porównaniami.

Kolega ogląda film od 16 lat — jemu pozwalają! Ma długie włosy — jemu pozwalają! Ma brudne uszy — jemu pozwalają! Dłubie w nosie i leży niemal przed talerzem, gdy je — pozwalają! Nie chce zupki — pozwalają! Chce do kina — pozwalają! Robi lekcje nocą — pozwalają! Zie się uczy — płaczą i bronią przed panią. Nie umie pisać oowiwiedn — owsz. Nie umie rachunków — policzają. Rozwali swoje rzeczy — sprzątną. Pyskuje — miłczą, bo mu z wiekiem przejdzie. Leni się — wyszukują chorob. Włoczy się wieczorami po ulicach — zazywa spaceru zdrowotnego.

Rośnie tyran? — Rośnie. Wraz z nim rośnie także poczucie krzywdy u rówieśników, którym nie pozwalają. I jedna ofiara pedagogicznych pomyłek niszczy wysiłki części kilku rodzin kolegów zaprzyjaźnionych.

A później śladamy do telewizji i robią z nas idiotów dobroćnych, pasjonujących się z wielkimi aktami seksualnymi, uśw mieniem; obok siedzi syn, jak w parafrazie z wileńskiego dowcipu „dzwinnie z czegoś zadowolony”, mimo że powiedział mu się nie o ptaszki i jabłuskach, ale z wyznaczonym, zdrowym językiem prawdy o dwójgu ludziach z sobą żyjących. I w tysiącach zachwyconych smyków zaczyna się budzić zwałowanie w wartości naszego uświadomienia, które odbyło się zwycajnie i w pospolicie, kiedy w „Wojnie domowej” widzą misterium niemal rumieńce, korowód mini-kostiumów i takich tam bzdur, na które pewnie nie zwróciłby uwagi w innej sytuacji. I ręce opadają, jak dogadał się z trzynastoletnim człowiekiem ponownie, zatręcił tę głupotę obrazu dowcipującego, kiedy ten niemal tarza się ze śmiechu, rycząc: „na ptaszki się uczy, na ptaszki, a to ci pycha”.

A mówi się o hierarchii wartości, o mądrym i spokojnym przechodzeniu ze świata dzieciennego w świat dorosłych, o kulturze pożycia, o szwzględnych autorytetach, ko-...nych jak chleb do egzystencji nastolatka.

Z całą świadomością wyliczyłam z tego artykułu sferę spraw związanych ze szkolnym wychowaniem i wpływami szkoły nie tylko jako źródła wiedzy o świecie, ale jako osobnego zamkniętego środowiska, w którym dziecko pozostaje po z a zasięgiem wiedzy rodzicielskiej. Wyliczyłam, bo rzeczy paroma zdaniami skwitować się nie da i powrócę do niej w następnym artykule. Tu zaś piszę o sprawach, które są udziałem wszystkich rodziców, które tylko od nich zależą, które tworzą dom, rodzinę, dają podstawy do mówienia o silnych albo spaczonych charakterach. Pisząc, zupełnie wyraźnie, mam nadzieję, podkreślić wagę dyscypliny świata dorosłych i jego przemysłom pewne wątki poddaję pod rozważę.



Fot. K. BUTWIŁOWSKI

# Kultura w kraju i na świecie

## PREMIERA „TANGA” W WIEDNIU

W „Theater in der Josefstadt” w Wiedniu odbyła się austriacka premiera „Tanga” Sławomira Mrożka. Wyprzedzona po brzegi sala (800 miejsc) gorąco oklaskiwała wykonawców po każdym akcie. Sztuka ma zapewnione powodzenie.

Na premierze obecny był ambasador PRL w Austrii Jerzy Roszak.

Należy dodać, że „Theater in der Josefstadt” jest jedną z najstarszych wiedeńskich scen dramatycznych, znana ze swych wysokich aspiracji repertuarowych.

## „LITERATURNAJA GAZIETA” ROZMAWIA Z JAROSŁAWEM IWASZKIEWICZEM

W cyklu rozmów z pisarzami zagranicznymi „Literaturnaja Gazietą” przeprowadziła wywiad z Jarosławem Iwaszkiewiczem, którego twórczość jest dobrze znana czytelnikom radzieckim. Jak poinformował pisarz, nakładem wydawnictwa „Czytelnik” ukazuje się wkrótce zbiór jego nowych wierszy.

## RZEŻBY DUNIKOWSKIEGO W LENINGRADZIE

Wystawa rzeźb Kawerego Dunikowskiego, po sukcesach odniesionych w Moskwie, gdzie od 2 grudnia do 5 stycznia eksponowana była w Muzeum im. Puszkina, została przewieziona do Leningradu — do Muzeum Rosyjskiego.

## MUZYKA POLSKA W KOLONII

W drugim wielkim koncercie z cyklu „Muzyka naszego czasu” zorganizowanym w Kolonii przez rozłośnię „Westdeutscher Rundfunk”, a poświęconym wybitnym dziełom muzyki najnowszej, znalazły się dwa utwory kompozytorów polskich. Były to: „Dialog na skrzypce i orkiestrę” Augustyna Blocha i „Preludia na orkiestrę kameralną” Bolesława Szabelskiego. Koncertem dyrygował również nasz rodak — Andrzej Markowski. Tak dzieła muzyków polskich, jak i dyrekcja A. Markowskiego spotkały się z bardzo pozytywnym przyjęciem krytyków.

## „NOWYJ MIR” O KSIĄŻCE KONWICKIEGO

W miesięczniku „Nowyj Mir” ukazała się recenzja książki Tadeusza Konwickiego „Sennik współczesny”. Poemacie to opublikowano w 1966 r. w wydawnictwie „Progress”, w przekładzie Mirskiej. Autor recenzji, A. Marlow, podkreśla trudną i skomplikowaną tematykę powieści oraz wysoko artystyczny poziom. Recenzja niedawno J. Mirskiej, która potrafiła oddać w pełni wartość oryginału.

## CONCERTY MUZYKI SYMFONICZNEJ W PGR-ach

Nowa forma upowszechniania muzyki wprowadziła dyrekcja Filharmonii zeczeńskiej, tworząc nieduży zespół symfoniczny, który udaje się na koncerty do ośrodków wiejskich. Wbrew astrzeżeniom scentyków inicjatywa spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem wśród publiczności wiejskiej, dającej się głównie z pracowników i Orkiestra Filharmonii, w wieloletnim, odwiedza również co

tydzień jedno z powiatowych miast województwa szczecińskiego, a także miasta województwa koszalińskiego i zielonogórskiego.

## POLSKA SCENA AMATORSKA W KOWNIE

W Kownie działa zespół teatralny występujący pod nazwą „Amatorzy sceny polskiej”. Jego ostatnią premierą jest inscenizacja sztuki ludowej Władysława Ludwika Anczyca pt. „Lobzowanie”. Polscy artyści amatorzy z Kowna dają również przedstawienia w innych miastach, a zwłaszcza w Wilnie.

## KONWICKI I BIENKOWSKI PO SŁOWACKU

Wydawnictwo „Slovensky Spisovateľ” opublikowało książkę Tadeusza Konwickiego „Sennik współczesny”. W tym samym wydawnictwie ukazał się po raz pierwszy w języku słowackim wybór wierszy Zbigniewa Bienkowskiego zatytułowany „Spektrum”. Wiersze przełożył Vlastimil Kovalčík.

## POLSKIE PIOSENKI W WIELU KRAJACH

Nasze piosenki zyskują popularność w wielu krajach. Szwedzka firma Hansa Buscha wydała „Kuglarzy” Kleinego i Urganca oraz „Spójrz prosto w oczy” Pietowskiego i Winklera. W Finlandii ukazały się m. in. „Kazus z Madonnami” (Konieczny i Białoszewski), „Kasztań” (Korepta i Wodnicka), a w NRD — „Zakochani są wśród nas” (Lebkowski i Werner).

## „SOWIETSKAJA KULTURA” O „CZTERECH PANCERNYCH”

Polski cykl telewizyjny „Cztery pancerni i pies”, wyświetlany na ekranach moskiewskich, wzbudził duże zainteresowanie widzów radzieckich. Na prośbę czytelników, redakcja „Sowietskiej Kultury” zwróciła się z prośbą o wywiad do pika J. Janusza Przymanowskiego oraz Witalisa Jankowskiego, kierownika programu filmowego polskiej TV. Rozmowa ta ukazała się w jednym z ostatnich numerów czasopisma.

# Widnokrąg odpowiada

**G. S. Rzeszów:** Niestety, to jest tylko takie pisanie do rymu, a nie wiersze. Nie będziemy drukować, mimo patriotycznego wydźwięku utworów. Te teksty nie mają żadnej wartości artystycznej.

**F. D. Jarosław:** Sporo ładnych sformułowań znalazłem w pańskich wierszach. Podobno nam się rozdawanie gałązek radości, upalny szepot, szum snów itd. Ale, niestety, z tych wierszy jeszcze nie skorzystamy. Trzeba więcej uwagi zwracać na konstrukcję utworu i na jednolitość nastroju.

**G. T. Ustrzyki Dolne:** Opowiadanko, jak na ten wiek dość śmiałe w treści, ale, niestety, bez walorów artystycznych. Nie skorzystamy. Sądźmy jednak, że przeżyca osobiste wymagają pewnej obiektywizacji literackiej w prozie.

**J. S. Rzeszów:** Jesteśmy zdumieni, że można tak dobrze pamiętać wszystkie uczucia i myśli z chwili własnych urodzin. Myślimy się także urodzić i nie pamiętać. Inne wiersze również zdumiewają swą naiwnością i nieporadnością. Jeśli to są te lepsze, to dobrze się składa, że nie musimy czytać tych gorszych.

**Jan T. — Jarosław:** Dziękujemy bardzo za nadesłanie nam słynnego w okresie okupacji wiersza. Postaramy się przy sprzyjającej okazji przypomnieć go naszym czytelnikom. Na razie nie możemy tego uczynić. Przesyłamy pozdrowienia.

**Józef T. — Tarnobrzeg:** Pana wiersze są zbyt „częstochowskie”, by mogły liczyć na publikację. I pisze Pan w sposób naiwny o sprawach oczywistych. Bo coż to za rewelacje: „Jakże piękne jest życie // gdy miłość w sercu rozkwita // Jakże smutne jest życie // Gdy rana krwią jest obmyta”... Nie skorzystamy.

**Fr. C. — Przemyśl:** W wierszach sporo dobrego, ale nie brak i łatwizny lub zgrzytów formalnych. Nie podoba nam się: „wymienienie jak wymienienie”, „śnieg mówi mi o obronach naszych granic”, „I jest mi smutno”, lub „pod drzewem moje łmie zakrawionymi oczami wpija się w warkocze opadających liści”... To są łatwizny lub wydziwiania. Najlepszy jeszcze jest „Dzień bez słońca”, ale i on jeszcze nie nadaje się do druku. Mimo to warto pracować dalej, gdyż do debiutu już niedaleko. Jest bowiem w tych lirykach wyobraźnia i liryczne widzenie świata.

**Antoni G. — Tarnobrzeg:** Pańskie wiersze bardzo żywo przypominają XVII-wieczną barokową lirykę refleksyjną, zarówno w formie (bardzo zresztą jeszcze nieudolnej), jak i w treści. Niestety, dziś można by oczekiwać innej trochę postawy filozoficznej, innego stosunku do życia i bardziej oryginalnej, własnej formy. Choć pewne wartości poetyckie w tych tekstach istnieją, to jednak nie skorzystamy.



# ZIMNO, BRUDNO I CIEMNO?

Kierownik Klubu Zakładowego z Jasia ujął w czasie dyskusji pracowników k.o. sprawę lapidarnie, ale trafnie. Stwierdził, że aby dom kultury, klub czy świetlica mogły z powodzeniem spełniać swą rolę, musi być tam czysto, ciepło i dużo światła. Wydawałoby się, że to nie jest sąd zbyt odkrywczy, wystarczy jednak odwiedzić jesienią, zimą czy wczesną wiosną placówki pracy k.o. we wsiach a nawet w miastach, by przekonać się, że ten zasadniczy postulat pozostaje u nas w sferze utopii.

Z obowiązku dziennikarskiego, czy na zaproszenie organizatorów zwiedziłem w tym okresie dużo takich klubów, czy domów kultury i zawsze robiło mi się przykro. Na ogół zawsze brnęło się po gęstym błocie do wejścia, wchodziło się do sali o poobijanym tynku, zniszczonych tandentnych krzeselkach, czasem ławach i rozklekotanych stolikach pokrytych ceratą. Lokal oświetlala jedna lub dwie anemiczne żarówki. Piece albo zupełnie zimne, albo z lekką zagrzaną stanowiły zwykle tylko element dekoracyjny. Nic dziwnego, że ludzie, którzy przyszli na telewizję, odczyt czy po prostu, aby spędzić wieczór przy kawie i pismach, siedzą tu w zabłoconych gumowych butach, kufajkach i szalikach. Jakże w tych warunkach żądać, by się rozbierali, by kobiety pokazały swoje nowe sukienki, a mężczyźni ubrania. Jak wrażeń do czystości, a nawet do pewnej elegancji, stworzyć odpowiednią atmosferę i poczucie zadomowienia... Nic dziwnego, że w niektórych miejscowościach w czasie spotkań wkraczali na salę zupełnie pijani mężczyźni z gospody i zaczęli się dość swobodnie zachowywać. Nie widzieli większej różnicy między wyglądem sal z gospody a świetlicą.

Jestem najmocniej przekonany, że pełny kulturalny odpoczynek, także dla ludzi pracujących fizycznie, daje możliwość spędzenia paru godzin w cieple, w czystości, na wygodnym krześle, wśród ludzi szczerze ubranych. Nie wszędzie i nie zawsze jeszcze możemy takie warunki odpoczynku stworzyć od razu, ale musimy przyzwyczajać odbiorców kultury do takiego właśnie spędzania wolnego czasu.

Bo przecież tu nie chodzi o jakies duże nakłady finansowe. Wystarczy płac przed placówką lub po-

łożyć chodnik, zakupić żyrandole, uszczelnic drzwi i okna, dobrze i systematycznie palić w piecach, a przede wszystkim szorować, zamiatać i sprzątać — to wszystko nie kosztuje tak wiele. Pewnie, że tego nie zrobią krasnoludki ani władze z powiatu. Ale jeśli klub czy dom kultury we wsi jest potrzebny i jeśli ma istotnie stanowić centrum kulturalne, to chyba znajdzie się jakieś koło ZMW, czy Koło Gospodyń Wiejskich, które się nim na serio zajmie.

Dziwne historie dzieją się z opałem dla placówek k.o. na wsi, zwłaszcza w klubach „Ruchu”. Od przede wszystkim wiadomo, że GRN-y mają obowiązek dostarczać opał dla nich w ilości wystarczającej i od dwóch lat prelegent w większości tych placówek nie może się rozebrać, by nie przepłacić tego grupa. No, ale niestety ojcowie wielu gromad przejmują obojętny stosunek do spraw kultury na swoim terenie od prezydentów powiatowych rad narodowych. A to jest już zupełnie inny temat, który kiedyś podejmemy.

O wiele lepiej pod tym względem dzieje się w miejskich placówkach kulturalno-oświatowych, chociaż i tu byłoby wiele do zrobienia. W wielu PDK-ach, klubach zakładowych czy ZDK-ach niby nie widać bałaganu czy brudu, ale brak w nich pożytku, tej jakiejś uderzającej czystości, schludności czy nawet elegancji. Zdarza się, że w hallu lub na korytarzach leżą połamane meble, o których zapomniano, że posiadka nie grzeszy czystością, że dotknięcie poręczy brudzi rękę, że z kosza lub popielniczki ktoś wysypał śmieci i tak już zostało itd. Z ciepłem bywa różnie, a na świetle z reguły się oszczędza. To nie są drobniactwa. Jeśli dom kultury ma być skuteczną szkołą kulturalnego sposobu bycia i kulturalnych nawyków we wszystkich sprawach, nie wolno kierownikowi dopuścić do tego rodzaju zaniedbań.

Dlatego podzielam w pełni zdanie przytoczone w wstępie w owej dyskusji i cieszę się, że padło ono w gronie kierowników domów kultury. Gwarantuję to, że aczkolwiek nie wszystko w tej dziedzinie zależy wyłącznie od nich, będą się starać, by w ich placówkach było ciepło, czysto i jasno.

JOTGIEL



Rys. J. SIENKIEWICZ

Siedzieli na strychu czyszcząc i smarując stary Mosin — typ sprzed rewolucji 1905 roku.  
— Nie ma amunicji do tego ścierwa.

— Ty nie obrażaj karabina. Masz ich tak wiele?  
— Mam, mam. Cztery mauzery, a do tego ani jednej kuli. Co, może będą Niemców samą łufą straszyl.

szyl. Otworzę drzwi komisariatu, wystawię tego grata i zapytam: — przepraszam, czy jest zły pies? A kiedy odpowiedzą: nie ma — krzyknę. To ręce do góry, wyścierwa hitlerowskie. Dawaj tu peony i stony, i granaty, i rewolwery, i...

— I czego, i pancerafusty, i samoloty — przerwał siedzący pod kominem. — Ze też zawsze marzą ci się łatwe i bezkrwawe zdobycze.  
— A co, nie przydałyby się erkaemy i amunicja? Żeby tak Cichy załatwił.

Chłopak o jasnej czuprynie zamiał się. Rozejrzał się po strychu. Wśród staroci, połamanych łóżek, dziurawych garnków, łachów murzejących i śmierdzących było ich czterech. Ten spod kominu poruszył się gwałtownie.

— Kulawiec powinien już być.  
— Jeszcze nie. Dopiero pierwsza piętnaście. W tej chwili gra na Częstochochowskiej, na podwórzu starego Wainstata... — Dzisiaj opróżnili Siedziową, Suchą i Plutonową. Stara Baumanowa nie mogła iść w szereg. To zastrzelili. — Powiedział cicho jeden z dwóch czyszczących broni.

— Czemu ludzie nie przeciwstawiają się? Przecież i tak ich zagnają do obozu. A tam śmierć. Więc chociaż śmierć za śmierć, albo...  
— Co albo? — Ten spod kominu patrzył na wymachującego ręką jasnowłosego.

— Co albo? — Ty wiesz, co to jest życie? Nie, nie twoje. Jesz, pijesz... Możesz wyjść z domu i iść dokąd zechcesz. Możesz pójść do lasu, albo pojechać koleją. Nie cenisz życia. A nasi cenią. Resztkami nadziei. Wierzą w cud.  
— Ależ to jest bzdura — jasnowłosy zaplenił się. — Co ty myślisz, że nas hitlerowcy omijają. Niedawno wpadli do domów nauczycieli...

— Wiemy. — Ten spod kominu przerwał ostro. — Wiemy. Tam w Oświęcimiu, czy w Majdanku nauczyciele nauczą się cenić życie. Wtedy kiedy straci jeszcze bardziej na wartości. Gdzie do cholery ten kulawiec.

— Nie denerwuj się Szlapa. I tak musisz czekać. Stary wlecz się wzdłuż opłotków. Za pięć minut zapuka.

— Słuchajcie. — Szlapa odwrócił się od okienka. — Ja twierdze, że Niemcy szycją się do pacyfikacji naszych ulic.

— Właśnie z tym mnie przysięgano — zawołał jasnowłosy. Ale jak go nie ma...

— Cichy zjawi się nocą. Powiedzą waszym, że jesteście gotowi. Tylko brak nam — pokazał ręką na złożoną pod kominem broń.

— Żeby Cichy załatwił — powiedział po raz drugi ten, który czyścił broń.

— Sza. Tam coś się dzieje. Rzeczywiście z dołu przez pół otwarte okienko doleciały jakieś krzyki wznagające się w ryk. Ktoś krzyknął: Niemcy! Ratunku! Ktoś inny: Chowajcie się!

W ten narastający gwar tysięcy ludzi, w modlitwę, w jęk, przekleństwo i głośnie, coraz głośniejsze: raus, Juden raus! wdarła się nagle i niespodziewanie melodia katarzynki.

Smętna „Rebeka” owinęła krzyki ludzkie jak gdyby tułem i rosła, i wzbijała się ku dachom drewnianych i murowanych domów.

— To kulawiec. Daje nam znak. Trzeba iść.

— Ty — Szlapa zwrócił się do jasnowłosego — ty wyskocz oknem w podwórzu i przez Białą na Sienkiewicza. My zaczynamy. Powiedz swoim, że liczymy na ich pomoc.

Zwrócił się do swoich: — bierzcie karabiny.

Jasnowłosy stał chwilę, patrząc na ich zacięte twarze. Pchnięty przez Szlapę, zbiegł po schodach w dół.

Trzej mężczyźni poszli jego śladem. Zatrzymali się przed drzwiami na korytarzu. Szlapa nacisnął klamkę. Rebeka rozbrzmiewała coraz mocniej i bliżej.

I nagle uderzył krzyk:

— Du Jude! Ha!ł!

Melodia urwała się. Szlapa podbiegł do okna. Dom zamykał wylot ulicy. Szlapa zobaczył starego katarzyniarza, który na środku chodnika obejmował skrzynkę. Przed nim z rewolwerm w ręku stał niemiecki oficer. Katarzyniarz obejrzał się w stronę domu. Jego twarz była pełna beznadziejnej rozpacz. Przycisnął się pierwszą do skrzynki. Objął ją lewą ręką. Prawą położył na korbie. Smutne tony Rebeki przedarły ciszę i gwar, i krzyk. Wtedy padł strzał. Stary katarzyniarz poczęł obsuwać się na ziemię czepiając się skrzynki, stojącej na jednej drewnianej nodze. Prawa ręka katarzyniarza nadal kręciła korbką. Grał.

Szlapa wycelował. Strzelił. Oficer niemiecki wypuścił broń z ręki. Szlapa widział tę twarz pełną zdumienia. Niemiec padł u stóp osuwającego się powoli na ziemię katarzyniarza. Zza domów wybiegli żołnierze. Szlapa strzelił. Z drugich okien rozległy się także strzały. Żołnierze niemieccy padli na ziemię. Pięć wyczołgało się. Jeden został z ręką wygiętą dziwnie ku górze. Rozpoczęła się obustronna strzelanina. Szlapa jeszcze raz rzucił okiem na chodnik.

Zgodnie, siwy, stary Żyd leżał na zwłokach oficera niemieckiego, Obok katarzynka. Już nie grała.

Jan Grygiel

# „OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA”

Któż poza grupką pisarzy i historyków literatury wie dziś coś o Bronisławie Ludwiku Michalskim? Ten zapomniany poeta krótka i smutna miał biografię i szczupły obywatelstwo dorobek twórczy. Należał do pokolenia lokatorów „wspólnych pokojów”, tragicznej cyganerii literackiej zamieszkującej w latach trzydziestych na Powiślu, na ulicy Złotej i Dobrej w Warszawie. Ci „cyganie” nie nosili swej artystycznej biedy z beztróskim humorem. Pozbawieni pomocy, środków do życia, perspektyw na przyszłość, głodowali, topili swą rozpacz w alkoholu lub ginęli jak Lucjan Salis, bohater „Wspólnego pokoju” Uniłowskiego, jak sam Uniłowski, jak Michalski, a później w czasie wojny Czechowicz, Domiński, Rzeczyca czy Podstawka. Ponura i beznadziejna była sytuacja w kraju zbliżającym się do katastrofy, nic dziwnego, że ci wybitni a nieuznani wtedy artyści nie wytrzymywali ciśnienia epoki. Jedni, jak Piętaś całe miesiące spędzali w depresji moralnej i głodowej chorobie, inni jak Michalski...

Urodził się w roku 1903 w Sieniawie, w pow. jarosławskim. Szkołę średnią ukończył w Jarosławiu, później rozpoczął studia na uniwersytecie we Lwowie, lecz z braku środków przerwał je i wrócił do Sieniawy. Po odbyciu służby wojskowej przenosi się do Lublina i wchodzi w bliiski kontakt z tamtejszym środowiskiem literackim. W Lublinie ukazał się pierwszy tomik jego poezji pt. „wczoraj”.

Po trzech latach znalazł się w Krakowie, skąd przed nędzą ucieka do rodzinnej Sieniawy, a później w 1934 r. wyjeżdża do Warszawy i po pewnym czasie zamieszkuje we wspólnym pokoju poetów przy ul. Dobrej.

„1 Maja 1934 roku zamieszkałem razem z Michalskim we wspólnym pokoju na Dobrej 9 i wtedy miałem jeszcze więcej sposobności obserwować go z bliska i analizować jego życie — wspominał Stanisław Piętaś. Było ono pomimo pozorów euforii mroczne. Broniek żył z jakimiś przypadkowymi starszymi kobietami, nie miał łączności z domem rodzinnym, z nikim ze swego domowego świata, który pewnego dnia rzucił... Brak uznania stawał się powodem jego kompleksem, kompleksem ten zapewne przyczynił się w jakiś sposób do jego nagłej, tragicznej śmierci... Widział swoją klęskę, toteż po wypadkach pijaństwa miłki, zamykał się, dusił w sobie swe trucicielskie zapady, nienawiść i odrzę do siebie samego... I jeszcze dalej w tym samym wspomnieniu: „...Nie podejrzewałem ani w ów wieczór zimowy, ani tym bardziej później, gdy sam byłem ciężko chory i stojący przed ostatecznością, że Broniek popełni samobójstwo, że sam przerwie swoje nieszczerne, stracone życie...”

Istotnie 27 lipca 1935 roku Michalski, znakomity pływak wychowany nad Sanem utonął w czasie kąpiel w Wiśle. Jest sprawą sporną do dziś, czy to było samobójstwo, czy przypadek. Stanisław Piętaś, który z bliska oglądał depresyjne stany poety i któremu Michalski zwierzył się z samobójczych zamiarów, nie miał wątpliwości, że to był akt samobójczy. Tego samego zania jest Wiesław Paweł Szymański — biograf tego kręgu twórców. Wreszcie ważnym świadectwem stanu duchowego Michalskiego były wiersze pisane przed śmiercią, a zwłaszcza ostatni, znaleziony w ubraniu zmarłego, któremu dano tytuł „Ostatni wiersz”. Ma on niewątpliwie charakter pożegnania. („Przyjaciele poety zebrałi pozostałe po Michalskim liryki i wydałi pośmiertnie drugi tomik pt. „Spotkanie z brzoza”). Natomiast Stefan Potasiński<sup>2)</sup> opowiada się zdecydowanie za nieszczerliwym wypadkiem przytaczając również dość przekonujące argumenty. Rozstrzygnięcie wątpliwości jest chyba już dziś niemożliwe.

Z uznaniem trzeba przyjąć inicjatywę Wydawnictwa Lubelskiego, które w 30 rocznicę śmierci poety postanowiło wydać wybór jego wierszy i w ten sposób wskrzesić go z zapomnienia. „Wiersze wybrane”<sup>3)</sup> ukazały na półkach księgarskich parę tygodni temu. Otrzymałmy (poza juweniliami) wiersze, które zadzi-

wiająco wytrzymały próbę czasu. Michalski, jak większość poetów tego czasu wywodzących się ze wsi, jest w swej liryce mocno związany z ziemią swojego dzieciństwa, z krajobrazem, z przyrodą pojmnowaną nieco panteistycznie. Wyszedł od doświadczeń awangardy, ale jej środki złagodził, stonował, nie uciekł od liryczności na rzecz formy. Nie ma tu wyszukanej, metaforyki, nie ma ekstremizmu eksperymentalnego — te wiersze płyną swobodnie, naturalnie, przesycone przejmującym smutkiem. Dużo tu motywów krajobrazowych znad dolnego Sanu, otwartych wyrażenie i wiernie, czasem spotyka się nazwy Sieniawy i Sanu. Wiele wierszy zwłaszcza z okresu młodzieńczego powstało w rodzinnej osadzie, co autor skrupulatnie zaznaczył. Ale te utwory z pierwszego okresu są jeszcze zbyt ozdobne, nasycone nieoryginalną ornamentyką i młodzieńczą naiwnością uczuć. Później w sposób bardziej dojrzały oddaje hołd małym miasteczkom i pejzażowi:

„...tam gdzie wiele się dzieje i nic się nie dzieje gdzie pieśń się rodzi ze stuknię wiatru o rynne widzę jak ma radością i smutkiem pęczniejysz miasteczko moje małe miasteczko rodzinne...” („Miasteczko” — ze zbioru „Wczoraj”)

Coraz silniej opanowuje strofy Michalskiego żywioł przyrody — wiaćciwie wszystko już jest przyrodą, kościół, praca, cień zmarłego ojca, gdyż „dionie wrażliwość korzeniami pracy // w kleistą miazgę snu o zdrowych krzepkich pedach”... „dom zamkniętą nieomylnie w symetrii białych ścian // i śmierć dorodnych jodeł i kielkujące życie”... a życie — „nurtuje, szeleści jak drzewo, // wiotkimi gałęziami pamięci, // słodkimi rzekami snu”...

Tu już nie ma opisywania krajobrazu i natury. W tych wierszach, podobnie jak zresztą u Piętaśa w tym okresie. Michalski reaguje z jakąś wyostroszoną wrażliwością na rytm przyrody — procesy kwitnienia, przemijania, biologicznego oddechu ziemi pulsują w krwi poety. Nawet ciągle przewijający się w ostatnich wierszach motyw śmierci nie grzni tragicznie i ciężki smutek nie jest rozpaczliwy, gdyż natura jest dla poety mistrzynią nieustannego trwania. „A jutro czym wyrosną?” zapytuje.

Mówi o tym także najczystszy, najdoskonalszy, programowy wiersz Michalskiego napisany tuż przed śmiercią:

„...Dlaczego zdarzył nie inaczej, że muszę odejść stąd, skoszony sierpem rozpacz, na twój tragiczny łód?... Gdy łądem... a we mnie ziemia śpiewa... a tu, a tam... już lepiej nie wspominać, tylko ogromnie żal, że drzewa... i mroczna, gęsta gлина... Że nie przypominasz mi, jak pachnie maj i słońce... że nie przypominasz, zły w krzemiennej swojej mowie tych nut, tych złud mój najsmutniejszy Boże...” („Ostatni wiersz”)

Niedoceniona kiedyś liryka Bronisława Ludwika Michalskiego, szlachetna i czysta w tonie, pełna harmonii wewnętrznej, mimo swego ciemnego nurtu, afirmująca z całą siłą wrażliwości twórcy uroki ziemi zasługuje w pełni na to, by stać się własnością czytelników. Dlatego dobrze się stało, że przypominano poetę z Sieniawy w rocznicę jego tragicznej śmierci.

- 1) Stanisław Piętaś „Wspomnienia i zapiski” W-wa, PIW 1964.
- 2) Autor wstępu do „Wierszy wybranych” B. L. Michalskiego.
- 3) Bronisław Ludwik Michalski: „Wiersze wybrane”. Wydawnictwo Lubelskie 1966.



Zeby nam w głowie nie zawrócić, zbyt dużo tych materiałów nie ma, ale śmiem twierdzić, że i tak w tej ilości nigdyśmy ich nie oglądali; że jednak zmieniło się coś na korzyść. Myślę naturalnie o wstawkach do programu, poświęconych województwu rzeszowskiemu, które wychwytywały się z przyjemnością i najżywiej komentuje. Tak komentowało się reportaż z Leżajska przed paroma tygodniami, wchodzący w skład znakomitych „Refleksji”, tak — migawki z Tarnobrzega, z właścicielką muwerwą dziennikarską ubraną w słowo przez Ambroziewicza w ubiegły czwartek. Lubię bardzo ten magazyn z powodów, które wystawiają mu najlepsze świadectwo: inteligencji piszących oraz byskotliwości rozmawiających. Jeżeli zawiera bowiem komentarz — to tylko lapidarny co celny, jeżeli pokazuje człowieka — to musi być on ciekawy, to poluje się na takiego, który zdumiewa swobodą poruszania się przed kamerą i oryginalnością sądów (nawet — jak to miało miejsce w przypadku Leżajska — nieco kontrowersyjny).

Zmieniło się trochę także w „Kronikach” krakowskich, dostajemy bowiem i tu próbki mikroreportażów; sobotni co prawda mnie nie zachwycał, ale może właśnie dlatego, że znów Tarnobrzeg nam pokazał, na który taka szalona moda nastąpiła w prasie i radiu ostatnimi czasami. O samej zaś Kronice powiem, że z coraz większą przyjemnością ją oglądam, że jest to niemalże drugi dziennik telewizyjny, coraz bogatszy w materiały i pomysły. Tym bardziej więc chciałoby się w niej widzieć obfitą porcję resowianów, choć człowiek zaaje sobie sprawę z daremności takich żądań. Kontentujemy się przeto i tym co jest, ale też nie zważadzi od czasu do czasu powiedzieć o tym, co być powinno w jego mieście. I przypominamy, że ziemia rzeszowska jest bardzo fotogeniczna, począwszy od lubaczowskiego Roztocza po Gorlice i Wysowę, że mamy piękny Przemysł, unikalną sztukę ludową — ikony, cerkiewki; świetne zespoły amatorskie; że mamy wreszcie ciekawych ludzi, z którymi mógłby sobie czasem porozmawiać ciepło, intymnie i z wdziękiem mu danym od natury, świetny prenter programów filmowych Kroniki i mistrz króciutkiego wywiadu — redaktor Cybulski, że krakowski Maszkaron mógłby raz do roku bodaj poświęcić swoją uwagę rzeszowskiemu teatrowi, że... I tu już skończyć wypada, bo nieskromnie wydaje mi się zawsze arbitralne narzucanie tematów, bo krakowscy dziennikarze znają je na pewno, bo — wreszcie — „7 dni” na ogół nie przywykły mieścić w sobie propozycji o tym, co będzie, w miejsce omówień tego, co było.

A było w minionym tygodniu przede wszystkim żywiarskie szaleństwo z Lublany, gdzie obierano w kilku konkurencyjnych mistrzów Europy. I może to zdenerwuje prawdziwych miłośników sportu, do których nawet sędziwy wiek nie pozwoli mi przynależać, ale jeszcze raz potwierdziła się z okazji tych mistrzostw teoria z takimi oporami realizowana przez telewizję, że balet — to dziedzina znakomicie w niej się prezentująca. Ze stoją tu przed nią rzeczy do odrobienia na przyszłość, że w miejsce nudnego filmu czy częściej rozrywki chętnie oglądaliśmybyśmy sztukę baletową, która w Polsce zapisała się przecież rzeczywiście wybitnymi nazwiskami, w w telewizji, niestety, niemal nieznanymi. Ież bowiem wdzięku tanecznego, układów baletowych i harmonii zaprezentowały nam parę taneczne, a nawet tyżwiarze startujący w innych konkurencyjnych; jak czekało się na nestorów tyżwiarstwa światowego, parę radziecką — Bielousową i Protopopowa! Myślę, że to był sukces sportu, odpowiednio wykorzystującego możliwości telewizyjnych kamer. Dla sportowych kibiców zaś — czyż nie była przyjemną niespodzianką zupełnie poprawna para polska i młodzieńca Marusia, o której mamy szansę jeszcze usłyszeć jako o pierwszej damie europejskich lodowisk?

I jeśliśmy już przy kobietach — to może sobie pomówimy o pierwszej damie telewizji — Irenie Dziedzic, która wyłansowała Tele-Echo. Było dobre, było ciekawe i inteligentnie robione, prezentowało ludzi godnych prezentacji i fachowca, który wiedział jak się to robi. Przykro mi, że z pełną świadomością utrzymałam to zdanie w czasie przeżyciem, ale ostatnie Tele-Echo wyraźnie mówi o spadku inwencji jego autorki, o nużącej rutynie, o braku pomysłowej oprawy rozrywkowej, o braku wreszcie ludzi mających rzeczywiście coś do powiedzenia. Być może, że jest to etap trudności przejściowych i Tele-Echo wrócić do dawnej świetności, ale czy w ogóle nie warto byłoby się zastanowić, jak długo można kontynuować program tak sztywny pod względem formalnym? Czy nie demaskuje on założone programów cyklicznych w ogóle, które pomyślane w kolebce rodzącej się telewizji polskiej i dziś — w okresie jej wieku dojrzałego, żadnym zmianom podlegać nie chcą? Czy nie warto byłoby wziąć pod uwagę coraz częstszych głosów krytyki telewizyjnej, ostro protestujących przeciw brodatym, postarzałym cyklom, przeciw nudnej pewności, że raz zaczęte wloką się latami, albo — co również źle — kończą się niespodziewanie i bez powodu, zanim nawet zdążyły zaawansować do miana programu cyklicznego? Głosów, które domagają się sensownej polityki repertuarowej, gdzie nie zabraknie miejsca na element niespodzianki oraz świeżość pomysłu.

KRYSTYNA

## Nowa publikacja GUS

# „Droga ucznia do szkoły”

Jak już informowaliśmy, Główny Urząd Statystyczny przeprowadził w ubiegłym roku gruntowne badania młodzieży dojeżdżającej i dochodzącej do szkół. Badaniem, w przekroju wojewódzkim, objęto uczniów szkół zawodowych dla niepracujących oraz liceów ogólnokształcących dla niepracujących, których rodzice mieszkają w miejscowości innej niż siedziba szkoły. Zebrany materiał ukazał się już w publikacji książkowej pt. „Droga ucznia do szkoły — 1965/66”, w ramach serii — „Studia i prace statystyczne”. Zawiera ona opisową część analityczną, uwagi metodologiczne oraz tablice uwzględniające województwa i typy szkół.

Materiał liczbowy obrazuje rozmiar i złożoność problemu związanego z tzw. młodzieżą zamiejscową — dojeżdżającą lub dochodzącą do szkoły, jak również okresowo zamieszkałą w internacie, bądź na stacji czy u krewnych. Ponadto zebrany materiał liczbowy dostarcza danych dla oceny rejonizacji szkół ponad podstawowych, w szczególności z punktu widzenia dostępności szkoły dla młodzieży ze wsi, osiedli i małych miast.

Prezentowane wskaźniki uaoacniają również istniejące dysproporcje między poszczególnymi rejonami kraju. Pozwala to na bardziej

celowe ukierunkowanie wysiłków i inicjatyw społecznych w sprawie budowy internatów, korekty sieci szkół oraz organizacji dojazdów uczniów do szkół.

Z zamieszczonych informacji wynika m. in., że w zasadzie najęstszą sieć szkolną posiadają województwa najbardziej przemysłowe i najbardziej zaludnione, a mianowicie: katowickie, krakowskie, wrocławskie, opolskie, a najbardziej — województwa o najmniejszej gęstości zaludnienia i rolniczym charakterze, np. białostockie, olsztyńskie, koszalińskie i szczecińskie.

Z internatów korzysta 68,5 proc. uczniów zasadniczych szkół rolniczych; 0,2 proc. uczniów szkół przysposobienia rolniczego; 17,8 proc. uczniów zasadniczych szkół zawodowych dla niepracujących; 26,8 proc. uczniów techników zawodowych dla niepracujących; 9,4 proc. uczniów szkół artystycznych oraz 37,7 proc. uczniów liceów ogólnokształcących.

Z liczby 462,6 tys. uczniów dochodzących i dojeżdżających do szkół zawodowych i liceów ogólnokształcących, dochodzi pieszo — 69,5 tys., dojeżdża różnymi środkami lokomocji — 393,1 tys. Z tej liczby dojeżdża koleją — 21,9 proc. uczniów szkół zawodowych i 22,1 proc. uczniów liceów ogólnokształ-

cących, autobusem — 17,4 proc. uczniów szkół zawodowych i 29,7 proc. uczniów liceów ogólnokształcących, rowerem — 3,8 proc. uczniów szkół zawodowych i 3,5 proc. uczniów liceów ogólnokształcących, innymi środkami lokomocji — 2,6 proc. uczniów szkół zawodowych i 1,4 proc. uczniów liceów ogólnokształcących. (K)

## Zdarzenia tygodnia

„Dla każdego coś miłego” — oto tytuł programu, z jakim zespoły amatorskie Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie wystąpiły ostatnio w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Horyńcu, w powiecie jarosławskim. Występ cieszył się dużym powodzeniem wśród licznie zebranych widzów. W I półroczu bieżącego roku, planowane są dalsze występy wspomnianych zespołów w świetlicach PGR na terenie województwa.

Na terenie woj. rzeszowskiego w klubach i świetlicach działa ogółem 768 zespołów artystycznych, które zrzeszają 11 601 amatorów.

Największą liczbę stanowią zespoły teatralne — 276. Na drugim miejscu uplasowały się zespoły recytatorskie — 131, na trzecim chóralne — 108. Ponadto działają zespoły instrumentalne — 70 i taneczne — 93.

W Przemyslu 6 lutego br. odbyło się w Prezydium PRN szkolenie zawodowe dla pracowników resortu kultury z terenów miasta, poświęcone zagadnieniom organizacji wycieczek po pracy (omówienie form i metodyki) oraz sytuacji aktualnie panującej ha tym odcinku w placówkach k.o.

W roku 1966 w wiejskich placówkach kulturalno-oświatowych działających na terenie woj. rzeszowskiego odbyło się 1 636 występów zespołów amatorskich, które obejrzało 250 617 osób.

W tych samych placówkach zorganizowano 137 koncertów artystów zawodowych dla 34 424 osób.

Znane powszechnie w Mielcu „Walentynki” z II Liceum Ogólnokształcącego dały już w tym roku szereg występów np. z okazji 25 rocznicy powstania PPR,

wyzwolenia Warszawy oraz innych uroczystości szkolnych z różnorodnym programem.

Członkowie zespołu rekrutują się z klas 8-tych oraz 10-tych. „Walentynki” działają pod troskliwą opieką pedagoga, a równocześnie reżysera, Edwarda Krymskiego. Obecnie przygotowują na 8 Marca nowy program pt. „Pół serio — pół zartem”.

Dnia 9 lutego br. w ramach działalności Wojewódzkiej Sceny Amatora wystąpił na scenie WDK amatorski zespół teatralny z Lubaczowa ze sztuką Gabrieli Zapolskiej — „Moralność pani Dulskiej” poprowadzonej przez mgr Jerzego Pleśniarowicza.

W dniach od 1-3 lutego odbyło się w siedzibie Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie seminarium dla kierowników i instruktorów powiatowych bibliotek, organizowane przez Wojewódzką Bibliotekę.

W ramach seminarium odbyło się też spotkanie aktywu bibliotekarskiego z tow. Pawłem Karpem, działaczami PPR z okazji obchodów 25-lecia.



MICHAŁ LEKSZYCKI — aktor Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Andrzej Przykowski: **GDZIEŚ WE FRANCJI**. MON 1966, s. 534, cena 27 zł.

Tematyka tej frapującej powieści to francuski Ruch Oporu z lat II wojny światowej, walka z okupantem, toczona przez członków organizacji „Koziorożec”. Dramatyczne sytuacje, bohaterstwo, tragiczny epilog. Część IV powieści rozgrywa się trzynastą lat później.

**PAMIĘTNIKI POKOLENIA**. Prace nadesłane na Wielki Konkurs Wspomnień pod nazwą „Rośliśmy z Polską Ludową” ogłoszony przez ZG ZMS, ZG ZMW, Instytut Filozofii i Socjologii PAN, PW „Iskry” i „Sztandar Młodych”. Iskry 1966, s. 468, cena 24 zł. Piłno. 15 wspomnień ludzi. Warto wziąć do ręki.

Roman Bratny: **KOLUMBOWIE — ROCZNIK 20**. PIW 1966, s. 444+158. t. I—II, wyd. dziewiąte. Biblioteka Powszechna, cena całości 20 zł. W dużym, 50 tysięcznym nakładzie znana również z adaptacji teatralnej powieści, której akcja rozgrywa się w okresie okupacji hitlerowskiej.

Zbigniew Kościński: **SERCEM I MYŚLĄ**. Wyd. Lubelskie 1966, s. 88, cena 12 zł.

Jest to drugi tomik poezji dyrektora i naczelnego redaktora Wydawnictwa Lubelskiego. Poświęcony w



całości Zamościowi — miastu jego młodości.

Piotr Krzykowski: **SZAROTKI**. Wyd. Lubelskie 1966, s. 48, cena 10 zł. W ramach Lubelskiej Biblioteki Ludowej tomik poety ludowego ziemi sądeckiej. Proste i jasne strofy tego 67-letniego pisarza czyta się z przyjemnością.

Mikołaj Gorbaczow: **KU GWIAZDOM**. tłum. A. Matuszyn. MON 1966, s. 208, cena 14 zł.

Utwór mało znanego u nas radzieckiego pisarza opowiada o życiu żołnierzy współczesnych wojsk rakietowych. O młodym indywidualiście, którego wychowuje kolektyw. Nowe dla literatury środowisko.

Andre Billy: **BRACIA GONCOURT**. PIW 1966, s. 682, cena 55 zł.

W tłumaczeniu Krystyny Dolańskiej opowieść o Edmundzie i Juliuszu Goncourtach, znanych pisarzach francuskich na tle epo-

ki, tj. na przebogatym tle kulturalnym Francji XIX wieku..., a szczególnie jego II połowy. Ponadto szkice o Akademii Goncourtów, bibliografia oraz indeks osób.

Bronisław Filipowicz: **HORMONY, ELIKSIRY ŻYCIA**. PWN 1966, s. 399, cena 34 zł.

Setny tom Biblioteki Problemów. Autor — profesor Akademii Medycznej w Łodzi, omawia mechanizm działania i zaburzeń hormonalnych. Ukazana też jest tu historia zmudnych badań, które doprowadziły do wykrycia poszczególnych hormonów.

**W LABORATORIACH FIZYKOWYCH**. PWN 1966, s. 427, cena 48 zł.

Jest to zbiór artykułów wybranych z amerykańskich i radzieckich czasopism naukowych. Zawierają one informacje o aktualnych problemach fizyki. Kolejny tom Biblioteki Problemów.

Jan Szymański: **MAŁE MIESZKANOKO**. Wyd. Związkowe CRZZ 1966, s. 120, cena 50 zł.

Przystępnie opracowany album, ukazujący praktyczne możliwości rozwiązania umeblowania małych wnętrz mieszkalnych. Autor akcentuje praktyczność, estetykę i nowoczesność w urządzeniu mieszkań. Liczne ilustracyjne przykłady ciekawie umeblowanych mieszkań.



— Obywatel pełnoletni  
górną średnią, dołem średnią,  
pędzi średnio dzień powszedni  
ponad średni stan,  
(statystyczny)  
pędzi średnio dzień powszedni  
ponad średni stan.

Pochrapuje w sposób średni  
podczas drzemki poobiedniej  
metraż średni ma w spółdzielni  
i dziurawy dach  
(wieloletni)  
Metraż średni ma w spółdzielni  
i dziurawy dach.

Wzrost ma średni, średnie dziatki,  
średni wykon pięcioletki  
średnie gatki i podatki  
założono mu  
(na pośladki)  
średnie gatki i podatki  
założono mu.

Twarz ma średnią, wagę średnią  
Szkolę średnią, piacę średnią,  
zonę średnią, odpowiednio  
i potrzebną rzecz  
(bezpśrednio)  
zonę średnią, odpowiednio  
i potrzebną rzecz.

OBYWATEL (mówi): — Ja może tę  
kiełbasę...



CHÓR: Przepraszamy pana.  
Kiełbasa na listopad jest zaplanowana.  
OBYWATEL: To ja może do łaźni, a może  
po żonę...

CHÓR: I tu i tam wskaźniki mamy prze-  
kroczone.

OBYWATEL: To ja...

CHÓR: Tylko cierpliwie, taka nasza rada.  
OBYWATEL: Chciałem o coś zapytać, nie  
wiem czy wypada.

CHÓR: Oczywiście wypada —  
statystycznie na głowę,  
różnych rzeczy plejada —  
statystycznie na głowę,  
cztery bułki, baleron —  
statystycznie na głowę,  
dwie wichury i pieron —

statystycznie na głowę,  
rurka z kremem, dwie kawy —  
statystycznie na głowę,  
ćwierć uszczelki z „Zastawy” —  
statystycznie na głowę,  
jedna noc w Budapeszcie —  
statystycznie na głowę,  
dwa tygodnie w areszcie —  
statystycznie na głowę,  
troje dzieci, trzy stonki —  
statystycznie na głowę,  
i pięć czwartych małżonki —  
statystycznie na głowę,  
wedle GUS-u tak właśnie —  
statystycznie na głowę,  
obywatel wypadnie.  
Statystycznie na głowę.

OBYWATEL I CZAJEWSKI SPIEWAJĄ:

— Co zrobić z czasem, gdzie tu iść,  
w W Apollo nfc nie grają dziś,  
pod Pstrykiem czeka pięść,  
w Śródmiejskiej inna część,  
co zrobić z sobą, gdzie tu wejść?

Obięto knoty w BWA,  
szkolenie w klubie WSK  
wypadnie chyba nam  
uderzyć do tych bram,  
gdzie śpiewa zespół WDK.

ZESPÓŁ:

Hej tam wedle młyna  
mátka pyta syna  
miły Czesiu jak się masz?

DYREKTOR WDK:

— Mam się tutaj fajnie  
w eksportowej stajni,  
jestem sobie gospodarz.

OBYWATEL:

— A co w teatrze dziś pan nie wie?

CZAJEWSKI:

Arcyciekawe przedstawienie,  
co do przedniejszych się zalicza:  
życiok Józefa Jachowicza.



OBYWATEL:

— A wpuszczą?

CZAJEWSKI:

— Gratis. Wszak ja wszędzie  
mam dwa bilety w pierwszym rzędzie.  
Proszę uprzejmie. Oto one.

OBYWATEL:

— Dziękuję.

CZAJEWSKI:

— Stuga unizony!

Obywatel zasiada na widowni, na estradę  
wchodzi Fornal i Jachowicz, w strojach  
pasterzy.

FORNAL:

— Wdzięcznyś wielce mój teatrze,  
kiedy tak na ciebie patrzę  
Zwłaszcza Józef, dziecko twoje,  
dziwnie cieszy serce moje.  
Te dekreta, te wapory,  
tę ciągoty w dyrektorzy...

JÓZEF:

— Łacność tobie mój Adamie  
iż ci zewsząd film dostaje,  
iż cię ta rzecz nie dociska,  
która mnie dziś w zadku piska  
Owóż sen dziś w nocy miałem,  
że dyrektorem zostałem...

FORNAL:

— Miły Józef, oto nie pleć  
owóż na co tobie to mieć.  
Boć więc i rozum zaślepił  
gdy się komu to w łeb wrzepi.

(wchodzi Wysocka, mówi do Józefa)

— Hej, hej, Józef, trzeba mi was,  
wieść poufną mam ja dla was  
o zaszczytach i etacie.

JÓZEF:

— Mój Fornalu, mówże, bracie,  
kto zacz ona biologłowa?

FORNAL:

— To Wysocka etatowa.

JÓZEF:

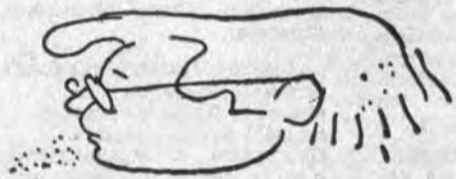
— Tak prawie z przyrodzenia jest pani  
kokoszna,  
iż mniemam, że wieść będzie stuszną  
i radosną.

WYSOCKA:

— Już na stolcu dyrekcję usadzono  
z góry...

JÓZEF: (z emfazą)

— Na ony alabastry, na ony marmury!



WYSOCKA: (poufnie)

Zdjęto czepek i Kobryń zasiadł w ony  
budzie,  
Bieliński na czubek drapie się po  
grudzie.

JÓZEF:

— O nieba, co ja słyszę, gdzie tradycja  
nasza!

Spiewają:

— Gratulujemy dla was tabuny sztuk:  
z „Głupim Jakubem”, „Paniński ślub”,  
potem „Kuglarze” z „Idiotką” wraz  
na „Dożywocie” skazali was.  
Teraz „Ktoś nowy” puka do bram  
on „Cudoiwórca” i „Don Juan”  
Po jednej „Burzy”, „Weselach” trzech,  
„Bał pożegnanych” zaczyna się.

FORNAL: (do Jachowicza)

— Mój towarzyszu roztomity  
przez żeś się tako zasmucił?

WYSOCKA: (j. w.)

— O mój najmilszy bracie,  
jakoś straszno patrzeć na cię.

JÓZEF:

— Nie mogę rzec ani słowa,  
barzo mi się chwileje głowa.

WYSOCKA:

— Widzę nie głowę, inne członki  
do roboty chcą małżonki.

JÓZEF: (z rozpaczą)

— Na nic tedy wszystkie sprawy,  
co czynił jako człek prawy:  
suchoty, odpusty, posty  
i te inne drobne chłosty,  
świeczki, biażejki, paciorki,  
żegnaj stolcu dyrektorski!

(wspólny śpiew):

— Choć „Spazmy modne”, ty prosto  
stój,  
bo „Pierścień wielkiej damy” był twój,  
a widz „Świętoszek”, kiedy miał czas  
na „Czarującą szewcową” wiał.  
Przez „Pięć wieczorów” Kaniowski sam  
„Meza i Żonę” na zmianę grał.  
A „Indyk” z nudów tentego nam  
zamiast kokoszek „Lato w Nohant”.

FORNAL: (wprowadza zza kulis Bielińskiego)

JACHOWICZ: — A co to za pachole na  
wielbiadzie macie,  
znać, że nie z naszej ziemi, komu je  
chowacie?

WYSOCKA: — Znać po nim dyrektora,  
recte Bielińskiego,  
bo to stan okazuje i osoba jego.

FORNAL:

— Tuchmy panie na drodze też tego  
dostali,  
Bóg wie żechmy czterdzieści zań  
srebrników dali.

WYSOCKA:

— Biercie, proszę pieniądze, jemu  
warazole piwo,  
niech się stara, pracuje i krząta, a żywo.

BIELIŃSKI:

— Jasne słońce, weźrzy na mię,  
straszne mam przed sobą znamię.  
Co z tym fantem mam uczynić

i jako mi z biedy wynieść?

Goluście moje czioneczki  
przynoszę do onej beczki —  
Jakoż ja się ochędozę?

JACHOWICZ:

— Sameś sobie krzywo nieboże.

WYSOCKA:

— Towarzyszu nic się nie bój,  
boś ty już nasz, tu przy mnie stój.  
Jako kogo czas zastanie  
taki dekret przyjdzie na nie.

BIELIŃSKI:

— Za tych co ubieżeli, innych gdzie  
ukopie!

JACHOWICZ:

— Alboż nam czart nagodził to  
nieszczęne chłopię.

(Wspólny śpiew):

— Dziś „Osiem kobiet” zostało ci  
w „Szkłanej menażerii” mon cheri  
Reszta „Pokusa” pognąła w świat  
więc ty z importu kombinuj skład.  
Okrzesz „Dzikusów” postaw na cel (larę)  
lansuj Trzy „siostry”, lansuj i Grey.  
Nie stój na bacność i nie garb się,  
summa summarum — jakoś to be.

WOŹNIAK:

— Gdzie tu jest jubileusz, gdzie tu?  
Ja jestem Woźniak z WKZZ-tu

(wręcza obywatelowi dyplom i wieniec).

OBYWATEL:

— Poproszę wczasy do Kudowej

WOŹNIAK:

— To sprawa Rady Zakładowej

OBYWATEL:

— Byłem. Nie dał. Miał niewiele,

WOŹNIAK:

— My się nie zajmujemy. My mamy  
inne cele.

(Śpiewa):

— Natogowo i wspaniale  
urządzamy festiwale  
artystyczne, dramatyczne  
itd.

Zespół pieśni, zespół tańca,  
zespół tańca i różańca  
na festiwal, na festiwal  
rażno mknie.

Teatr słowa pełen zalet,  
po nim zaś szatowy balet,  
wprost nie balet, ale szaleć  
i apiąć:  
Z entuzjazmem wchodzą w pałac,  
przekraczają cour de ballance,  
zeby z miejsca pierwsze miejsce  
u nas brać.



OBYWATEL:

(mówi):  
— A jak wezmę to miejsce,  
to co dalej, co jeszcze?

WOŹNIAK:

— Wówczas władze związkowe  
dają domom kultury nagrody zespołowe.

OBYWATEL:

— A co z wykonawcami  
drogimi amatorami?

WOŹNIAK:

— Normalnie.

(Śpiewa):

— Podziękuję się im szczerze  
za wysiłek w pełnej mierze,  
dom kultury zaś zabierze  
cały kram:  
parasole, adaptery,  
stówkę na kaloryfery...

OBYWATEL:

— A ordery?

WOŹNIAK:

— A ordery dadzą nam!